BLUSZCZ

Społeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXII WARSZAWA, DNIA 27 LIPCA 1929 ROKU NR. 30

TREŚĆ NUMERU: Emancypacja mężczyzn — *Haen.* Pionierki nowych idei wychowawczych — *Alicja Hlasko-Pawlicowa.* Poezje: „Miłości", „Westchnienie" — *Hanna Mortkowiczówna.* Zawalidroga (d. c.) powieść — *Herminja Naglerowa.* Sztuka pisania listów miłosnych — *S. Borowska.* W Wilnie i dworach litewskich (dok.) — *Stefanja Podhorska-Okołów.* Miasto wzorowej burżuazji — *Hanna Skarbek.* Z teatrów—*S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Z tygodnia rolniczego w Poznaniu — *Pani Elżbieta.* Sztuka kupowania—*M. Dobrowolska.* Szkodniki róż i ich zwalczanie—*A. D.* Pieczarki —*F. Teodorowicz.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Dodatek „Nasza Mównica" Dodatek „Mody i roboty": W słońcu—*Well.* Dodatek powieściowy: „Głos krwi"—*R. Hichens.* Arkusz wzorów.

EMANCYPACJA MĘŻCZYZN

Za wielkiemi przemianami — muszą iść małe, sięgające w miąższ życiowych spraw. Inaczej, bowiem, stają się owe wielkie przemiany tylko zewnętrznym pokostem, pokrywającym stare systemy i nawyki. Za czem wytwarzać się musi nierównomierność postępu, a niejednokrotnie także okazać się może jego całkowita nieprzystosowalność do życia. I dlatego tak często zwycięskie idee postępu potykają się o drobne napozór przeszkody, albo, miast płynąć naprzód, natrafiają na nierozwiązalne kwestje i już tylko wzburzonym wirem kotłują się w miejscu.

Mniej więcej dzieje się tak ze społecznem zwycięstwem sprawy kobiecej. Bo właśnie dziś, gdy się już dokonał ten przewrót i gdy zrównanie nas w prawach nie ulega już wątpliwości, okazują się w praktyce niepokonalne przeszkody, które wyrastają niekiedy do rozmiaru zagadnień, godzących w samą istotę naszego zwycięstwa.

Jednym z takich dość groźnie przedstawiających się problemów jest przeciążenie kobiet pracą. Przyznajemy się już do tego otwarcie, że nie możemy podołać wielorakim zajęciom i, co gorsza, że nie spełniamy naszych obowiązków należycie. Pobieżność i niedokładność staje się nową ujemną cechą kobiecą, co, oczywiście, nie ułatwia nam trudnej walki o byt, polegającej na współzawodnictwie pracy, zdolności, wytrwałości, wydajności i t. p. Na swoją obronę mamy wprawdzie sporo argumentów, których prawdziwość jest bodajże naoczna, ale które w zasadzie nie zmieniają faktu, że nasza praca w zawodach, biurach, warsztatach, ustępuje często, zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym, pracy mężczyzn.

Na podstawie tej przykrej dla nas oceny, popartej statystyką, rozbudowuje się nowa trudność naszej sytuacji społecznej i, miast iść naprzód, miast zdobywać nowe placówki, stoimy niejako na miejscu, albo się nawet cofamy. Na pocieszenie mówimy sobie: — Nic dziwnego, że tak jest, skoro musimy pracować zawodowo i zarobkowo i jednocześnie spełniać tysiące większych i mniejszych robót w domu, spełniać najrozmaitsze usługi z zakresu pracy kobiecej!

I dlatego też nie poraz pierwszy na tem miejscu zajmiemy się kwestją równomiernego podziału pracy domowej między mężczyznę i kobietę. Przypomnijmy tu raz jeszcze, jak się rzecz ma w organizacji domu, w którym pracują zarobkowo wszyscy członkowie rodziny. Mężczyźni znajdą w tym domu wypoczynek po pracy — kobiety nową pracę. Muszą przecież obsłużyć siebie i mężczyzn oraz cały żywy i martwy inwentarz domowy!

Zaczyna się to już od najwcześniejszej młodości, kiedy Staś i Janeczka, chodząc do szkoły, mają niby równe prawa i równe obowiązki. Tymczasem jednak jest to równość iluzoryczna. Bo Janeczka musi nietylko sobie zacerować pończochy, uprać rękawiczki, przyszyć guzik, ale zrobić to także dla brata— z rozkazu matki. Jakżeby mogło być inaczej? Przecie — chłopak, więc nie wypada, żeby szył i prał! Janeczka musi nakryć do stołu, podać herbatę, zrobić to i owo w gospodarstwie, bo właśnie odeszła służąca, albo wcale jej niema i powinno się pomóc matce, a zato Staś, silniejszy i nawet do książki trochę leniwy, więc wcale nie przepracowany, pójdzie z kolegami na boisko, albo będzie najzwyczajniej zbijał bą-

ki. Bo, jakże! Chłopak! Nie wypada, żeby pozmywał naczynie i wytarł kurze.

Więc, jak mówię, odrazu stosuje się inną miarę do dziewczyny, a inną do chłopca, choć właśnie tak samo biedzą się nad Owidjuszem, nad sinusami i tangensami. I tak już potem zostaje na całe życie. Mężczyzna nie tknie się małych, powszednich robót w swoim własnym domu, bo to „należy" do kobiety. Na swoją obronę powie mężczyzna: że nie wypada, że się nie ośmieszy babską robotą, że wreszcie nie potrafi, bo nigdy tego nie robił. I tak, niby kochając tę swoją żonę, nie pomoże jej, gdy taksamo, jak on, zmęczona wróci z biura i zabiera się do szycia, do prania, sprzątania. Będzie za nią „wodził" zakochanemi oczyma, gdy się tak krząta po domu. Nawet czasem powie, zdjęty litością: — Dość już, nie pracuj tyle!—aby za pół godziny zrobić jej wymówkę: — Jeszcze nie wywabiłaś plamy z surduta, jeszcze nie przyszyłaś mi guzika do kamizelki!

Do czegoż to więc zmierzam obrazeczkami tej śmiesznej niedoli? Jakież to wnioski wysnuwam z tych małych spraw, które są tak pospolite, że może nawet wstyd o nich mówić? Ale — nie wstydźmy się — te drobiazgi rozgoryczają nas, jak każda niesprawiedliwość. Tylko, że to my same, my, jako matki i wychowawczynie, ponosimy winę. I o tem właśnie chcę powiedzieć parę słów.

Jeżeli bowiem żądamy równości w sprawach życia dorosłych, musimy postępować konsekwentnie od samych początków wychowywania naszych dzieci. Bo co innego jest indywidualizowanie, a co innego przydzielanie zajęć wedle płci. T. zw. samowystarczalność w znaczeniu poradności jest tak samo przystępna dziewczynie, jak i chłopcu. Jeżeli mężczyzna bywa krawcem, kucharzem, froterem, więc dlaczego nie może umieć zacerować sobie ubrania, ugotować obiadu, czy zetrzeć kurz z mebli? Niema to, jak łatwo się przekonamy, nic wspólnego z Weiningerowskiem *M* i *W*, nie jest znamieniem, rozróżniającem charakter płci i jej wewnętrzną dyspozycję psychiczną. A jest jedynie i wyłącznie nawykiem, złą metodą wychowawczą, której skutki aż nadto przykro odczuwają właśnie kobiety. Tak jest, źle wychowujemy naszych synów!

Doszliśmy tak do naszego założenia: Zmiana społecznego stanowiska kobiety spowodować musi także zmianę w wychowywaniu chłopców, aby zrównanie dotrzeć mogło także do najmniejszej społecznej komórki — do organizacji domu. Jeżeli bowiem zwyciężyła nasza słuszna sprawa, jeżeli jesteśmy równouprawnione, trzeba, żeby ta wielka przemiana sięgnęła głębiej i nie była w rezultacie — zwycięstwem pyrrhusowem. Musimy więc jaknajśpieszniej zabrać się do usuwania tych nierówności, które w praktyce życiowej grożą podważeniem naszych zdobyczy.

Poddajemy to pod rozwagę matek, które z własnego doświadczenia wiedzą, jak ciężko jest udźwignąć te wszystkie prace domowe obok wykonywania zawodu. Zapewne niejedna z tych matek, czyniąc bilans ze swojej działalności zawodowej, naukowej, czy artystycznej, dojdzie do wniosku, że jest on niewspółmierny z jej możliwościami tylko dlatego, ponieważ musiała rozmienić się na drobną monetę: na niezliczoną ilość zajęć domowych. Połowę tych zajęć po sprawiedliwości spełniać więc powinien mężczyzna i do tego trzeba go przyzwyczaić już w młodości.

Takie przedstawienie sprawy, choć zupełnie zrozumiałe z naszego stanowiska, nie będzie, oczywiście, dobrze i życzliwie pojęte przez mężczyzn. Napewno sprzeciwi się niejeden ojciec „zniewieścieniu" syna. Nie byłoby to jednak słuszne. Gdyż rozszerzenie zakresu poradności życiowej w niczem nie może ubliżyć mężczyźnie, a doprawdy dobrzeby było, gdyby mężczyzna zechciał wreszcie zrozumieć, że praca domowa — nie hańbi. Niestety, przez długie wieki tak ją sobie lekceważył, tak ją miał za nic, tak jej prawie nie dostrzegał! Spełniała ją skromnie kobieta, jako swój obowiązek, spełniała bez szemrania tak długo, dopóki w czterech ścianach domu zamknięty był jej świat. Teraz jednak, gdy w świecie mężczyzny zajęła miejsce ważne i potrzebne, słuszne jest, aby mężczyzna uczestniczył w świecie domowym. Nie wątpię, że wykaże duże zdolności, dużą zręczność i sprawność. Jest to zresztą często praca fizyczna, bardziej odpowiednia jego siłom, niż sile kobiety. I w ten sposób dopiero wytworzy się istotne koleżeństwo, istotna współpraca w każdej dziedzinie. A kto wie, czy nie zyska na tem gospodarstwo domowe, odświeżone inicjatywą i pomysłowością mężczyzny. Tak właśnie, jak zyskać może gospodarstwo świata przez współudział kobiet we wszelakich pracach i zawodach.

Pisząc o tej sprawie, należącej poniekąd do zagadnień z dziedziny wychowawczej, wiemy, że nawet wiele kobiet odniesie się do niej z niechęcią i sceptycyzmem, że dostrzeże w niej nieprawdopodobieństwo i niewykonalność. Dzieje się tak jednak z każdem nowatorstwem, do którego trzeba się najpierw przyzwyczaić pojęciowo. I, doprawdy, nie łatwo było przekonać najświatlejsze umysły o tem, że mózg kobiety nie różni się od męskiego i że kobieta może być lekarzem, prawnikiem i inżynierem. A jednak dziś stało się to zjawiskiem pospolitem i dziś nikt już nie wysila się na naukowe dowodzenia, że kobieta jest stworem niższego rzędu. Ale praktyka uczy nas i zmusza do poprawek. Taką nowelizacją w kwestji kobiecej byłaby reforma wychowania chłopców. Trzeba z nich zrobić przyszłych kolegów i prawdziwych współpracowników kobiety. I, jeżeli tak można powiedzieć — trzeba ich emancypować w tym kierunku. Jest to właśnie dowcip, często powtarzany przez mężczyzn, którzy sami sobie nie zdają sprawy, ile w tym żarcie jest rozumnej prawdy. *Haen.*

ALICJA HŁASKO PAWLICOWA

PIONIERKI NOWYCH IDEI WYCHOWAWCZYCH

Dobro ludu, dobro narodu i państwa wymaga jaknajlepszej szkoły, bo, jak powiada Kant, człowiek jest tylko tem, co zeń uczyniło wychowanie. „Naród, chociażby zbudował najsilniejsze państwo, zmarnieje, jeśli nie zbuduje człowieka".

Dlatego też po wszystkie czasy pragnieniem poszczególnych narodów było wychowanie jak najdoskonalszego typu obywatela. Szukano lepszych, dogodniejszych dróg dla osiągnięcia tego celu. Ogólne prądy kulturalne każdej epoki znajdowały swój wyraz w szkolnictwie.

Nacjonalizm XIX w. stworzył hasło wychowania narodowego, nakazał szkołom przechowywanie i pielęgnowanie tradycyj narodowych. Hasła demokratyczne epoki nowoczesnej stworzyły szkołę powszechną z tendencją pedagogiczną uspołeczniania młodzieży, z metodą dydaktyczną, polegającą na nauczaniu masowem; doba najnowsza przyniosła przesilenie demokracji, z którego wyłoniły się hasła szkoły indywidualnej, twórczej, radosnej, opierającej się na zdobyczach psychologji eksperymentalnej i uwzględniającej impulsy i instynkta dziecka.

Wśród pionierów nowych idei wychowawczych doby obecnej pierwsze miejsce zajmują kobiety.

Szwedka Ellen Key, przedstawicielka indywidualizmu w wychowaniu, dziełem swem: „Stulecie Dziecka" — wprowadza formalny przewrót w pojęciach pedagogicznych: zrywa krępujące dziecko więzy karności i przymusu, żąda, by szkoła dostosowywała się do samorzutnego rozwoju indywidualności wychowanka, popierała nieskrępowane objawy jego charakteru.

Nowoczesna metoda wychowania przedszkolnego, tak zw. metoda Montessori, bierze nazwę od swej twórczyni, włoszki, dr. Marji Montessori.

Jako asystentka kliniki psychjatrycznej przy uniwersytecie rzymskim, zetknęła się p. Montessori z dziećmi anormalnemi, które zaczęła kształcić umysłowo. Kilkoro z nich nauczyła poprawnie czytać i pisać; ten fakt nasunął p. Montessori myśl, że gdyby metody specjalne, które tak dodatnio wpłynęły na dzieci umysłowo niedorozwinięte, zastosować do dzieci normalnych — skutki byłyby znacznie większe. W tym celu zakłada w Rzymie w r. 1907 tak zwane „case dei bambini" — domy dziecięce — w których specjalny nacisk kładzie się na kształcenie zmysłów. Zapomocą prostych przyrządów i odpowiednio zorganizowanych lekcyj, o charakterze pogadankowo-ćwiczeniowym, dzieci kształcą smak, węch, wzrok, rozwijają poczucie kształtu i przestrzeni, uczą się rozróżniać dźwięki i szmery i t. p. Że metody p. Montessori dają wyniki dodatnie, świadczy o tem masowe przekształcanie szkółek froeblowskich na „domy dziecięce", typu Montessori. Proces ten ma miejsce nietylko we Włoszech, ale w Szwajcarji, Anglji i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Bardziej rozgłośnym od systemu Montessori, choć świeższej, gdyż powojennej daty, jest system laboratoryjny szkół daltońskich, stosowany zarówno na niższym, jak i na wyższym stopniu nauczania. Twórczyni jego, nauczycielka amerykańska, miss Helen Parkhurst, odbyła w r. 1914 podróż do Włoch, gdzie po uzyskaniu stopnia doktora pedagogji była przez czas jakiś asystentką p. Montessori. Po powrocie do kraju, jako inspektorka szkolna, objęła opiekę nad szkołami jej typu w Ameryce.

Punktem wyjścia dla reformy p. Parkhurst, podobnie jak dla innych twórców nowoczesnych kierunków wychowania, jest wiara we wrodzoną aktywność człowieka i stąd wypływające przekonanie, że tylko w atmosferze swobodnej i wolnej pracy można wydobyć twórcze pierwiastki intelektu. Opierając się na doświadczeniach p. Montessori, stworzyła p. Parkhurst swój system oryginalny i przemyślany, który poraz pierwszy wprowadziła w całej rozciągłości w r. 1919 w średniej szkole żeńskiej w mieście Dalton stanu Massachusetts.

Podstawą systemu daltońskiego jest wyprowadzenie młodzieży z ciasnych ram klasy (klasy zostają przemienione na pracownie), a przez to umożliwienie uczniom kilku roczników, pracujących przy jednym nauczycielu, odniesienia jak największych korzyści. Uczniowie otrzymują z poszczególnych przedmiotów większe zadania, które mają wykonać na pewien termin. Kiedy się do nich zabiorą i w jakiej kolejności je wykończą, zależy od nich samych.

Zakłady daltońskie różnią się od wszystkich dotychczasowych uczelni zasadniczo. Już zewnętrzny ich wygląd jest całkiem odmienny. Ich cechy charakterystyczne — to pięknie urządzone warsztaty pracy, laboratorja i czytelnie, w których pracuje młodzież swobodna, ruchliwa, czynna. Młodzież ta zdobywa zasadniczo wiedzę samodzielnie; nauczyciel ogranicza się do udzielania niezbędnych wyjaśnień oraz do wykonania koniecznego zresztą, ale jaknajbardziej dyskretnego nadzoru.

Najlepiej określa charakter tych uczelni termin, ukuty przez ich inicjatorkę: „Childrenes University School" — uniwersytet uczniowski.

W r. 1920 zwiedziła szkołę daltońską miss Bell Rennie, pionierka nowych idei wychowawczych w Anglji. Na skutek jej sprawozdań, zamieszczonych

w pismach londyńskich, system ten zwrócił uwagę angielskiego świata pedagogicznego. I znowu kobieta, p. Basset, dyrektorka szkoły średniej dla dziewcząt w Streatham (przedmieście Londynu) zastosowała zasady planu daltońskiego w swej uczelni.

Za przykładem jej poszły inne szkoły angielskie, głównie dzięki żywej agitacji, podjętej słowem i drukiem przez zawiązane angielskie towarzystwo daltońskie. Obecnie ponad 1000 szkół angielskich pracuje tym systemem, a ilość ich wciąż wzrasta.

Poza Anglją i Ameryką system daltoński przyjął się w Japonji, Chinach, Australji, Rumunji i Niemczech, wszędzie zyskując uznanie władz szkolnych, nauczycielstwa, rodziców i uczniów.

W Polsce pionierką nowych idei wychowawczych jest pani dr. Janina Młodowska, dyrektorka seminarjum nauczycielskiego w Chełmie; uczelnię swą od lat trzech przekształciła p. Młodowska na typ daltoński i otworzyła dla zwiedzających. Za jej przykładem poszła p. Pachońska, dyrektorka gimnazjum humanistycznego w Łodzi, próby zaś reformy nauczania w kierunku planu daltońskiego podejmują obecnie różne szkoły w poszczególnych miastach polskich.

Wogóle daje się zauważyć silne zainteresowanie polskiego świata pedagogicznego systemem daltońskim, czego wyrazem ma być w najbliższej przyszłości zjazd daltonistów polskich w Warszawie.

HANNA MORTKOWICZÓWNA

MIŁOŚCI

Jak śmiech ukryty — miłość gra w piersi nieznacznie,
Miłość tańczy, jak iskra, utajona w próchnie.
Jedna właśnie umarła, inna dziś się zacznie,
Ta, jak burza zawionie, ta, jak pożar buchnie.

Podarłam całe życie w kolorowe szmaty,
Któremi wiatr kapryśny po przestworzu targa.
Moje miłości pachną i więdną, jak kwiaty,
I tylko Twoja miłość jest, jak wieczna skarga.

Tylko Ty, choć nie zyskasz nic i nie wyprosisz,
Choć jesteś tak daleki, tak obcy niezmiernie,
W sercu swem umęczonem razem ze mną nosisz
Te wszystkie me miłości, jak krwawiące ciernie.

WESTCHNIENIE

Ach, cofnąć słowa gniewne, co z ust niebacznie zbiegły,
Pozwolić śmiać się wargom i nie dać płynąć łzom,
Nanowo z trudem zbierać porozrzucane cegły,
Nanowo wznosić w górę zburzony niegdyś dom!

Powrócić życiu słodycz przemarnowanej chwili,
Okupić żal wyrzutów, wyrzeczeń skrócić trud.
I wszystko przeoczone i to, cośmy stracili,
W ramionach ciepłych zamknąć, jak odzyskany cud!

Wygładzić wszystkie zmarszczki, zabliźnić wszystkie rany,
Ożywić w piersiach serce — zamarły, ciężki głaz.
I ciebie, mój najlepszy — ach, czemuż niekochany!
W tem innem, lepszem życiu — napotkać jeszcze raz!

HERMINJA NAGLEROWA 12)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Niewiadomo dlaczego tu właśnie panował psotny nastrój. Bo i teraz miało się ochotę splatać wyskubane frendzle, rozciągać haczkowane pajączki i wykręcać knot aż do skutku.

Z uśmiechem, który zatajał tkliwość, przypominał sobie Franek, jak słuchał bajek, siedząc na kolanach pana Sozańskiego, niby w miękkim fotelu. Nikt tak nie umiał, jak pan Sozański wywlekać dziwów bajkowych szeroko i daleko, aż poza krąg wszelkiego patrzenia.

— A gdzie pan chowa te bajki?

— W brzuchu, Franeczku.

Brzuch pana nauczyciela był wistocie wypukły i pakowny. Wszystko się tam mogło pomieścić i razem pomięszać, aby nazawsze już został niepojęty sens tych długich, przerażających bajek. Bo pomyśleć tylko, że kosmate łapy czartów pukały trzykrotnie w szybę, że czarownice fruwały na łopatach i miotłach, a mchem obrosły pustelnik zakreślał święconą kredą białe koło. Potem, gdy się już wszystko stało wedle cudownych przykazań, gdy królewicz ucałował różane policzki królewny — Klima i Natalka otwierały usta, jak głodne pisklęta, i śpiewały na dwa głosy: „Kanareczku, kanareczku, wysoko latasz..", albo: „Ciemnym borem nad wieczorem leciał czarny kruk...", albo to najładniejsze: „Nad Ebru falą, goniąc spojrzeniem, młoda cyganka siedziała..."

Franek prześpiewał sobie w myśli cały ten rzewny repertuar, gdy weszła — tak, to chyba Natalka! Bo i piegi na małym nosku i wyłupiaste zielonkawe oczy, które w mętnych białkach tuliły staropanieństwo.

— Franek tak wyrósł — płaksił się głosik.

Potem przyszła młodsza, Klima. Aż różowo zrobiło się od jej okrągłej twarzy, aż smacznie od czarnych oczu. Do niej to pewnie śpiewała śliczna piosenka:

„Czorni oczy, jak teren,
Kołyż my sia poberem?
Poberem sia ro nedilu,
U szczasłymu hodynu."

Siedzieli we troje i nic nie mówili. Franek burzył palcami pożółkłe kartki „Wiesława" i myślał, że wszystko, co się już kiedyś działo, może być znowu bliskie i tak śmiesznie, podwójnie odczuwane — przeszłością i teraźniejszością. I nie wiadomo właściwie, co z tego jest ważniejsze, co trwalsze: czy to, co było, czy to, co jest.

Wreszcie zaczęły siostry półsłówkami rozmowę ze sobą. Franek zrozumiał, że musi się coś wykopać, coś podlać, coś uprać. Sięgnął więc po „Pana Tadeusza" i czytał „napamięć".

—To Franek już po maturze? — wciąż jeszcze dziwiła się Natalka.

— Winszujemy.

I znowu nic. Pachniało gotowaną kukurydzą, a przez otwarte okno wkradały się nudzące gdakania kur i chrupanie świń.

— A prosiaki jeszcze kąpiecie w stawie?

Tak, tak. Jakże ślicznie, że pamięta! Dziś właśnie mają taką robotę Są cztery, różowe, jak kociaki.

Prosił, żeby go wzięły ze sobą, więc zaśmiewały się do łez, bo przecież teraz nie wypada, aby Franek był przy tem. Spierał się, że owszem, nawet bardzo wypada i przypominał im, jak się to szło między łozy, a woda była zielona i stęchła. Ale i one mu przypominały, że był wtedy malutki, musiały go nosić na rękach, gdy spacer był daleki. Pewnie jeszcze pamięta, jak się to szło do lasu na orzechy i ożyny! Jakżeby nie pamiętał? Liljowe smugi wieczoru spięte nisko z ziemią, niebo spodem pomarańczowe, czasem jasno złociste, czasem zmarszczone w różowawe chmurki. Kurz pachniał sianem i zbożem, a w lesie grał pogłos. Wtedy śpiewali razem, żeby przekrzyczeć leśny strach. Antoś, narzeczony Natalki, hukał pochłopsku i bito się prętami leszczyny. Natalka śmiała się sinemi wargami, a jej zęby były czarne od ożyn.

Franek wiedział, że Antoś już nie żyje i dlatego to Natalka nosi czarną sukienkę, ale nieszczęście i smutek wydawały się tu czemś zwyczajnem. Zanadto tu było spokojnie, zanadto niezmiennie, aby jakiś smutek mógł tu zbyt ciężko zaważyć. Zielone oczy Natalki, okrągłe i głupie, jak u ryby, patrzyły zawsze jednakowo i nawet teraz, gdy wspomniał Antosia, nie zmieniły się, nie zmądrzały smutkiem.

Pan Sozański przebrał się już w surdut, nasiąknięty sprawami długich lat i zacierał ręce, jakgdyby wałkował powietrze. Śmiał się do córek i do gościa tem samem, co za dawnych lat, szerokiem rozwarciem ust. Tylko, że pan nauczyciel nie miał już dziś zębów, a mówiąc, zgniatał słowa na wilgotną papkę.

Natalka poszła do gospodarstwa, a pan Sozański miał sprawę w gminie. Gdy odeszli, Klima stała się odrazu rozmowna. Opowiadała, jakby śpiesząc się, o tem, że biedna Natalka tak bardzo nie chciała zostać starą panną i że, doprawdy, bardzo kochała Antosia. Potem mówiła o swojem nauczycielstwie, o walce z chłopami, którzy latem zabierają dzieci ze szkoły. Ale naogół wcale nie jest tak źle. Lubi to nauczanie. Od kiedy ojciec poszedł na emeryturę, sama prowadzi

wszystko. Dzieci uczą się czytania, rachunków, robót ręcznych, historji, geografji, śpiewu. Nie, nie jest wszystkowiedna, ale tyle umie, ile potrzeba w tej szkole.

Franka nudziły jednak te szkolne sprawy, i trochę podrwiwał z Klimy. Przestała więc mówić, zawstydzona i prawie zmartwiona. Ale, gdy zapytał, czy jej więcej na świecie nic nie obchodzi prócz tej szkoły, zaperzyła się.

— Obchodzi! Jak to rozumiesz? Obchodzi mnie wszystko, do czego mogę dotrzeć tu, w naszych warunkach. Czytam dużo.

Otworzyła szafkę z książkami i wymieniała tytuły książek. Czasem dodawała: — To jest śliczne, to jest cudowne! — Wtulili głowy w książki i przerzucali sobie z rąk do rąk małe tomiki poezji. I teraz było im dobrze razem. Wyrywali sobie wzajem słowa i uśmiechy, zachwyty i zastrzeżenia. Ale Franek nie wyjawiał jeszcze swojej tajemnicy. Powie o tem Klimie może jutro, może dopiero pojutrze Wtedy napewno zrobi wielkie oczy· — Piszesz wiersze? Pokaż, przeczytaj! — I jej pierwszej na świecie będzie czytał głośno. Trochę go już w tej chwili dławiła trema i wszystkie jego słowa jakby pokrywała chropowata łuska, choć Klima nic przecież jeszcze nie wiedziała, nie mogła się nawet niczego domyślać. Chętnie powiedziałby jej teraz: „Ciebie kocham najwięcej, bo masz takie serdeczne zmarszczki koło oczu". Lecz tak nie mówi się nikomu i pewnie obraziłaby się, że dostrzegł te zmarszczki.

Odsunął się trochę i patrzył gdzieś wbok, mówiąc poważnie o obcych wierszach. Głos jakby żałobniał, bo chwila wydawała się ważna i dostojna, więc też Klima musiała przyznać:

— Rozpowiadasz takie ciekawe rzeczy. Dobrze, że przyjechałeś: otworzysz mi okno na świat.

— A ty, tak już tu nazawsze?

Nie zaraz mu odpowiedziała. Za mocno ją szarpnął takiem zapytaniem. Musiałaby mu chyba spowiadać się z wielu, wielu rzeczy, które były kiedyś nie do zniesienia, a dziś już stały się łaskawe i ciche... Rozwlekała więc słowa szeroko, aby się utrzymały na tej dzisiejszej powierzchni, by nie uderzały dźwiękiem zbyt głęboko.

— Pewnie, pewnie już tak nazawsze. Mogłam nawet objąć posadę w Jazłowcu, ale czyż godziło się zostawić ojca, rozbić rodzinę? A zresztą trzeba kogoś kochać i dla kogoś żyć.

Franek powiedział: — Sentymentalizm Rodziewiczówny!

— Nie, mylisz się, to nie jest literatura! — Nie mogła już mówić spokojnie, musiała siebie i swoje sprawy wydźwignąć z zasypanej głębi.

— Ojciec po śmierci matki miał dużo kłopotu z nami. Dwie małe dziewczynki były dla młodego ojca także wyrzeczeniem się czegoś nazawsze. Trzeto dobrze zrozumieć, że ojciec nie wyrządził nam krzywdy. Teraz nie mogłabym go zostawić z Natalką, bo Natalka jest chora, jest po tem nieszczęściu — nijaka. Za wszystko, co dla nas zrobił, ja teraz muszę tu być z nimi.

Ale nagle, jakby coś zrozumiała innego. Przestała mówić i Franek widział, jak jej rumiane policzki sponsowiały i rozświeciły się wilgocią potu. Tak się chyba przestraszyła własnych nieopatrznych słów, bo nagle podeszła blisko i pogłaskała Franka po twarzy.

— Nic nie jest ani zbyt smutne w życiu, ani zbyt ciężkie, gdy się już zrozumie, że inaczej nie może być.

XIV.

Franek, choć wiedział i rozumiał, nie potrafił wedle recepty Klimy znosić wszystko z nieczułością mędrca. Jakgdyby ktoś ostrym nożykiem wycinał na skórze długie, łaskotliwe linje! Potem piekły rany, nabrzmiewały bólem i chciało się krzyczeć wśród łez: „Nie dotykajcie!" Jakiekolwiek były te żywe słowa, które się tu splatały na codzienną potrzebę, zawsze znalazł się w nich sens inny, a dotkliwy. Już to, że wyznaczono Frankowi mieszkanie w oficynie, było widomem zdeklasowaniem. Wyznaczono mu miejsce— poza domem!

W oficynie sąsiadował z wdową po ogrodniku, a czarna sień ziała smrodem chłopskiego gospodarstwa, naparzaną kaszą, gotowanemi łupinami kartofli. Iwaś, syn wdowy, w granatowym mundurku gimnazisty, z temi złotemi paseczkami na kołnierzu, z tym papierosem w ustach wystawał całemi dniami na ganku i był prawdziwem utrapieniem. Chłopak miał chore nerki i dlatego już od wielu miesięcy marudził w domu, odesłany z bursy jazłowieckiej. Trudno z nim było nawet rozmawiać, bo odpowiadał po rusińsku. I, doprawdy, trudno go było lubić, skoro czupurzył się i napuszał, jak stary, żółty kocur.

— Co czytasz? Pokaż!

Zawsze miał w rękach, albo pod pachą jakieś grube tomidło, przełamane kartkami nazewnątrz, a od ciągłego czytania chore powieki i sklejone rzęsy.

D. C. N.

SPROSTOWANIE

W Nr. 29 „Bluszczu" w powieści „Zawalidroga", na stronicy 6, w drugiej szpalcie, w ósmym wierszu od góry powinno być: „Tam, jak pot w łaźni" zamiast: „jak kot w łaźni", co niniejszem prostujemy.

S. BOROWSKA 1)

SZTUKA PISANIA LISTÓW MIŁOSNYCH

(Humoreska na smutny temat)

... choć są tylko echem chwil już minionych — listów moich nie pokazuj nikomu.
(F. Kruszewska)

Gryzelda miała zaledwie lat trzydzieści pięć, ale wszyscy już wiedzieli, że zamąż nie wyjdzie. Była biuralistką i niepotrzebnie nosiła książęce imię małżonki wielkiego Jaremy.

Życie jej było przyćmione, a ściśnięte zewsząd jak woda w szklance; twarz niepiękna, chuda, wypłowiała, podobna do charciej mordeczki — wzrost tylko wspaniały, a linje ciała, godne dawnych staro-rycerskich dziewic.

Wstawała o siódmej rano i czyniła to wszystko, co przeciętna, urzędniczego stanu kobieta robi przez dzień cały. A gdy wieczorem powracała do siebie — to wstręt, z jakim zdejmowała suknie, nasiąknięte dymem biurowym, skwapliwość, z jaką myła całe ciało od stóp do głowy — pozwalały wnioskować, że pracę zawodową uważa za dopust Boży, a w życiu prywatnem mieści się bez reszty.

Dom jej był tylko pokojem przy rodzinie, w którym czuła się nieraz straszliwie samotną. Nadmierna skrytość przeszkadzała jej w nawiązaniu ściślejszych stosunków z koleżankami — mężczyźni zaś nie mieli do niej nigdy najmniejszego interesu. I w tem było coś niezrozumiałego, coś, co nosiło cechę predestynacji. Trudnoż-bo składać wszystko na karb braku urody, który tylu innym kobietom nie komplikuje losów.

Niemniej przeto najważniejszą sprawą życia Gryzeldy była właśnie — miłość, hodowana, jako tajone marzenie, rozsnuwana w jakoweś nieistniejące na planie fizycznym romanse i przygody.

I dziwnem, doprawdy, zjawiskiem na nowoczesnem tle biura i wielkiego miasta była ta kobieta w sile wieku, o nieciekawej twarzy, zamkniętej grzeczniutką, spokojną linją ust, nie znająca aż do trzydziestego piątego roku życia szczęścia, ani upokorzeń miłości, dzielonej z „nim".

Czasem, idąc ulicą, doznawała Gryzelda dziwnych wrażeń. Spostrzegała tylko pary, idące chodnikami. Samotnicy płci obojga uchodzili jej uwagi. Przyśpieszała wówczas kroku, aby spojrzeć w twarz tym kobietom, którym towarzyszyli mężczyźni. Chciała wiedzieć, jakiemi są, czem się odznaczają, w czem leży ich urok i siła. Czy są tak piękne, czy tak zalotne, czy tak chytre, czy tak złe — czy tak dobre?...

Mijała kroczące przed nią pary i obserwowała te kobiety. Jakże często wydawały się jej nieciekawe, stare, brzydkie, niezgrabne! A jednak towarzyszyli im mężczyźni. Chodzili z niemi na spacery, do teatru i kawiarni. Kupowali im kwiaty, całowali je po rękach. Trudne to było do zrozumienia dla Gryzeldy.

Czasami znów spostrzegała tylko samotnych mężczyzn. Nie wymijała ich, nie usiłowała zobaczyć twarzy. Lubiła iść chodnikiem w pewnem niezwracającem uwagi oddaleniu za jakimś panem. Jej blady Eros, widmami karmiony, przemawiał wtedy odruchami delikatnemi, półświadomemi:

— Oto piękny ruch ramion pod nieskazitelnym krojem palta... Kobieta tak nie chodzi. To jest coś, co się składa na „męskość", coś, przez co męskość się przejawia... Oto ruch ręki, jakim sięga do kieszeni po papierosy — roztargniony a wytworny gest. Zapala zapałkę i pochyla głowę ku rękom, zwiniętym w kształt konchy, aby ogień nie zagasł na wietrze. Kobieta zrobiłaby to wszystko inaczej.

— Oto znów odwraca głowę profilem, aby spojrzeć zbliska na mijającą go kobietę... Zwalnia kroku i zatrzymuje się przy wystawie sklepowej... czy w myśli wybiera kwiaty dla niej?...

Gryzelda chodziła tak nieraz, zwłaszcza na wiosnę, gdy na ulicy cieplej było, niż w mieszkaniu, a płuca łaknęły świeżego powietrza. Czas wolny od pracy dzieliła pomiędzy nielicznemi wizytami, składanemi dalszej (bliższej nie miała) rodzinie, czytaniem, kinem i gimnastyką.

Gimnastykę uprawiała rzecby można — nałogowo. Gdy przeciętnemu śmiertelnikowi nudno, gdy go ogarnia apatja i bezwład woli — odwiedza kolegów, pali papierosy, lub idzie do cukierni, kina czy teatru. Gryzelda, nie rozporządzająca wielką ilością gotówki, mawiała sobie nieraz:

— Boże, jak dziś smutno, jaki straszny deszcz pada, jaki człowiek się czuje samotny!... Zróbmy gimnastykę, bo nic lepszego nie wymyślimy...

I zwlekała ze siebie suknie, prężyła muskuły, wyłamywała kości, dopóki zjadliwa fala melancholji nie rozprysła się w fizycznem zmęczeniu.

Raz wybrała się do astrologa... Kabalarki już nie są w modzie...

Przyjął ją pan imponujących rozmiarów, o twarzy dobrodusznej i spokojnej.

Nad fotelem jego, wspartym o ścianę, niby tron „okultystyczny", widniała sentencja jednego ze starych astrologów, wypisana ogromnemi literami:

„Gwiazdy nie kłamią, tylko ludzie kłamią o gwiazdach".

Zdanie to obosieczne miało w sobie groźbę i pociechę. Gryzelda się uśmiechnęła.

Astrolog zadał jej szereg „fachowych“ pytań, nakreślił duże koło na ćwiartce czystego papieru wiele znaków geometrycznych, liczb i liter, zdjął z półki parę większych i mniejszych książek, wreszcie przemówił tak trafnie, że Gryzelda była zdziwiona. Ale nie o to jej chodziło.

— Czy wyjdę kiedy zamąż? — spytała nieśmiało.

Astrolog spojrzał na zabazgrany papier, gdzie w obrębie nakreślonego przezeń koła mieściła się formułka Gryzeldy, całej Gryzeldy, z jej urodzinami i śmiercią, niedolami, smutkami i możliwościami. Groźna prawdą, wydarta gwaździstemu niebu.

— Pani ma uszkodzone słońce...

Słowa padły, jak grom kosmicznej katastrofy. Gryzelda zadrżała.

— Pani ma słońce uszkodzone przez Saturna. W horoskopie kobiety słońce wyobraża mężczyznę. Dobrze aspektowane słońce, czyli słońce w harmonijnem położeniu względem innych planet w chwili urodzenia danej kobiety, daje jej w życiu dobrego ojca i dobrego męża. Uszkodzenia, czyli nieharmonijne położenie słońca względem innych planet, powodują wszelkiego rodzaju niedole w stosunkach z przedstawicielami płci męskiej. Dają złego, lub wcześnie umierającego ojca, niedobrego męża, lub wogóle skazują na celibat. Niektóre uszkodzenia, zwłaszcza ze strony tak złośliwej planety, jak Uran, pozwalają wróżyć niewierności małżeńskie, opuszczenia, zdrady i rozwody.

Gryzelda słuchała z zapartym oddechem.

— W pani horoskopie słońce jest uszkodzone przez Saturna.... Tenże Saturn, wysoce złoczynna planeta, uszkadza pani dom siódmy...

D. C. N.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW 2)

W WILNIE I DWORACH LITEWSKICH

Najciekawsze może karty pamiętnika stanowią wspomnienia o Marji Szymanowskiej, Klaczce, Odyńcu, Rustemie i Bachmatowiczu. Szymanowska zjawia się w r. 1827 na terenie Wilna, jak wspaniały meteor, zasypujący iskrami europejskiej sławy i talentu ten prowincjonalny światek, w którym urządzenie koncertu zależne jest od tego, czy pani gubernatorowa będzie mogła włożyć swoją białą atłasową salopę, czy też nie. Wrodzony wdzięk kochanej „Szymani“, jej uroda, wyrobienie towarzyskie, piękne stroje, ciekawe albumy z autografami najznakomitszych artystów i poetów świata, wreszcie ujmująca serdeczność dla wszystkich, którzy się znaleźli w jej otoczeniu — podbiła serca panienek w domu Güntherów, a „dwunastoletnia Gabrjelka, siedząc w kąciku, przykuta do miejsca urokiem muzyki, milcząca i zachwycona, nie poznawała samej siebie, a raczej budziła się do dna jej dusza, zbudzona już przed dwoma laty „Kurhankiem Maryli“.

Opuszczając Wilno, pani Szymanowska zostawia każdej z panienek na pamiątkę swoją kompozycję „z własnoręcznym nadpisem“. I tu rys drobny, ale charakterystyczny, podpatrzony rozmiłowanemi oczami Gabrjeli. Oto, „chcąc, by atrament nie zalewał, gładziła na nutach swoim tureckim szalem miejsce, gdzie pisać miała, co nieraz potem naśladowałyśmy, chcąc sobie uprzytomnić „Szymanię“.

I jeszcze jeden szczegół, wzruszający w swym dziecinnym snobizmie: „na wzór jej kacawejki aksamitnej, karmazynowej z gronostajami, porobiono dla nas podobne, ale skromniejsze; stały się ulubionym naszym strojem na długo“.

Nazwisko Klaczki poraz pierwszy spotykamy w pamiętniku przy... wyliczaniu najlepszych i najmodniejszych sklepów wileńskich. „Sukna najlepsze były na Niemieckiej ulicy u Klaczki, kupcowej sumiennej, a babki wsławionego pisarza, który zaledwie w r. 1837 ozwał się, jak słowik, poraz pierwszy, a rozumu swego dowiódł tem najlepiej, że przechodząc na światło wiary objawionej, nie wyparł się swego nazwiska i pochodzenia“.

W roku 1837 autorka poznaje owo pisklę słowicze, szarpiące się w klatce wileńskiego ghetta Przywiązywała snać dużą wagę do poznania tego cudownego dziecka, skoro przytacza nam dosłowny wyjątek ze swego dziennika, jakby bojąc się coś uronić lub przeinaczyć ze swych bezpośrednich wrażeń.

„Mieliśmy wczoraj u siebie kilka dam, a wśród nich małego Izraelitę, deklamującego z zapałem strofy Bajrona „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany“ i „Odę do króla“ Krasickiego. Pan Buksza przyprowadził go, a był nim kupca Klaczki syn, którego matka, wbrew woli męża, wychowuje w tej myśli, że

Matylda z hr. Güntherów Maurycowa Buczyńska (według minjatury nieznanego autora).

kiedyś on będzie chrześcijaninem i poetą. Synek odpowiada staraniom matki i dawał swój złoty zegarek, by mieć swoje fortepiano, bo i do muzyki ma zdolność i ochotę. Pragnie on też bardzo słyszeć naszych kaznodziejów, wyznając, że Talmudu nie rozumie i w szkole się nudzi"... „Później śpiewał jakieś bez końca strofki o miotełkach z „Chłopa miljonowego", co chcąc przerwać, proszono nas, abyśmy śpiewały. Na uczczenie przyszłego chrześcijanina wybrałyśmy „Hymn do Najświętszej Panny". „W kilka dni potem pan Buksza przyniósł nam od swego protegowanego drukowane wiersze jego kompozycji polskie i hebrajskie, i list jego, pisany po odmówieniu pozwolenia na fortepian przez nieubłaganego ojca. Dziękując panu Bukszy za jego starania i instancje, biedny chłopczyk kończył swój list słowami Autora „Walenroda":

... Cudnie marzyłem, srodze mnie zbudzono!"...

Ach! co za bigos litewski w głowie „małego izraelity"! Byron w przykładnej zgodzie z Krasickim, to jeszcze nic, wobec tego, że Mickiewicz był przecież nietylko autorem Walenroda, ale i „Zimy miejskiej" i poematu o „Kartofli", ale te strofki o miotełkach z „Chłopa miljonowego", to już rzeczywiście zalatuje katarynką z wileńskiego zaułka. To tak, jakby kto dziś po „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego zaśpiewał: „Panno Maniu, więc na „pe"! A potem ten wschodni patos w liście, ten patos, co pod tłumikiem niezwykłej kultury wibrować jeszcze będzie w głosie Klaczki, korzącego się w „Wieczorach Florenckich" i „Juljuszu II" przed wielkością i grozą Dantego i Michała Anioła!

Odyńca poznała Gabrjela w roku 1825 w domu swej ciotecznej babuni, pani Strawińskiej, w Nakryszkach. W niedzielę po sumie zjechało się do niej całe sąsiedztwo; z Korsakami przybył bawiący u nich w gościnie Odyniec, rozpoczynający wtedy swój zawód autorski. „Na zapytanie, co pisze, schylił na bok głowę i odpowiedział, że poemat „Polowanie". Dziesięcioletniej Gabrjeli kazano powtórzyć przed nim jakąś jej bajeczkę i tak się zawiązała ich znajomość, mająca się rozpocząć nanowo w trzynaście lat potem nad Wilją.

To powtórne spotkanie nastąpiło w Kojranach u pani Łopacińskiej i miało charakter miłej niespodzianki dla stron obu. Oto, jak o niej pisze autorka „Pamiętnika".

„W chwili, gdy nasza oliwkowa kareta podjeżdżała pod ganek wiejskiego domku, wśród stojącego tłumu u drzwi powitał nas Antoni Edward Odyniec, niedawno zpowrotem przybyły z Drezna (z żoną i córeczką Antosią), a wyciągając do mnie ręce z serdecznością Litwina: „Co to za skok", wołał, „od ba-

Marja z Wołowskich Szymanowska (według minjatury Henryka Bennera).

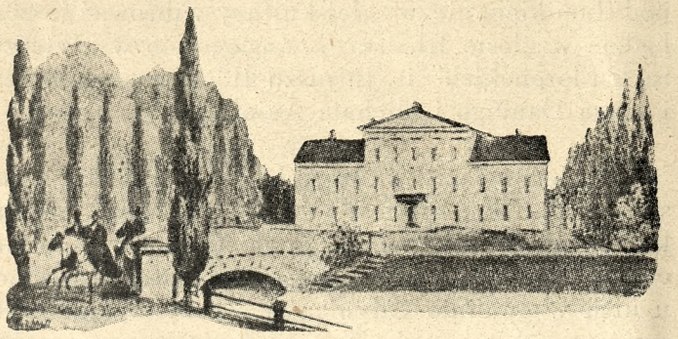

Pałac w Dobrowlanach od podwórza

jeczek dziecinnych do „Obojętności!". Pokazało się, że czytał moje strofki w Paryżu, nie wiem, przez kogo tam doszłe i to był początek naszych stosunków przyjacielsko-literackich".

Później poeta odwiedzał niejednokrotnie Güntherów, a „zawsze łaskaw na mnie, pytał, co piszę? Rodzice kazali mi pokazać Poemat o Dobrowlanach. Poeta ofiarował się sam go czytać, podnosząc słaby wiersz silną deklamacją. Ktoś zaproponował pieśń czwartą o Zimie, gdzie był opis Święconego; mnie stanął w oczach ustęp o „głowie odyńca, co był lasów panem" i oponowałam czytaniu Zimy, czego nikt nie pojmował, a gdy się fatalny wiersz zbliżał, wymknęłam się z pokoju. Na moje nieszczęście, odwołują mnie dla jakiejś wizyty. Pocieszam się, że lektura przerwana... ale, o nieba! Pan Odyniec czyta dalej cicho w oknie i, doszedłszy do wiersza o odyńcu, głośnym parska śmiechem, a zbliżając się do mnie, dziękuje, żem go zrobiła królem lasów... Dużo było śmiechu i raków z tego powodu".

W roku 1839 Güntherowie i Odyńcowie mieszkają w jednym domu w Wilnie. Odyniec, zajęty pracą przez cały tydzień, przychodził do Güntherów co niedziela, „nazywaliśmy go niedzielnym gościem", bo powszednim być nigdy nie mógł, a świętem była dla nas każda jego wizyta. Zawsze pobłażający, kazał mi czytać swoje wiersze, a widząc w nich przeważający element lekki, wesoły, radził czerpać z serca i przy strofach własnych ofiarował mi pióro Goethego, które miał od Autora „Fausta".

Jako przyczynek do charakteru epoki, ciekawą jest scena, kiedy młoda poetka czyta Odyńcowi swoją rozmowę między cieniami Barbary i Jadwigi, a on zrywa się z miejsca, biegnie do siebie i przynosi swoją paralelę między temiż królowemi. W lat osiemnaście później Odyniec napisał dramat „Barbara", Güntherówna we dwadzieścia cztery lata swoją „Jadwigę". I o jednej i o drugiej nikt dziś nie wie... Jakże prędko zgasły te nikłe żużle poezji, wyrzucane razem z ogniem i lawą nieśmiertelnych natchnień z wielkiego wulkanu romantyzmu!

* * *

Artystów-malarzy, którzy dziełami swego pendzla zaspokajali estetyczne potrzeby i aspiracje ówczesnego wileńskiego beau-monde'u, było trzech: Lampi, syn sławnego portrecisty, Rustem i Bachmatowicz. Lampi, po dłuższym pobycie w Petersburgu, przejazdem do Wiednia zatrzymał się na całą zimę 1830 roku w Wilnie i założył pracownię w ogromnej sali na drugiem piętrze domu Karpio-Platerów, gdzie na dole już od pięciu lat spędzali karnawał Güntherowie. Piętnastoletnia Gabrjelka z wrodzoną sobie trzeźwością sceptycznie patrzała na metody modnego portrecisty, który każdą damę „mocą swego delikatnego pendzla zamieniał w piękność idealną, owianą w mgłę przezroczych zasłon, z różą we włosach i bransoletką antique na ramieniu... W lat kilkanaście nowe pokolenie, oglądając te portrety, myśli: „Jakże wiele było pięknych kobiet w 1830 roku!".

O ileż bliższy jej sercu jest „pan Rustem, co maluje z gustem" i z piękności wileńskich na dobroczynnych zabawach żywe układa obrazy, np. królową Semiramis wśród swojego dworu w chwili ukazania się cienia Ninusa.

Jesienią 1828 roku Rustem odwiedza Dobrowlany, przywieziony przez ucznia swego, Bachmatowicza, bryką krakowską krytą, bo za warunek swego przyjazdu stawiał, by po niego nie przysyłać resorowego pojazdu. Między artystą a gospodarzami zawiązuje się odrazu miły, serdeczny, jowjalny nieco stosunek, okraszony wymianą dowcipów i wzajemnych uprzejmości. Pani Güntherowa „dla zabawienia zacnego gościa urządzała różne niespodzianki. W ogrodzie za wodą ukazała się raz wieśniaczka francuska, prowadząca osiołka, mającego na sobie kosze z jarzyną i kwiatami. Tą wieśniaczką była Idalka (średnia córka Güntherów), której bardzo było ładnie w dużym pasterskim kapeluszu".

Wywdzięczając się za gościnę, Rustem, ujęty bezinteresowną serdecznością gospodarzy, którzy go przyjmowali w swoim domu, nie jako malarza, ale jako przyjaciela, na gotowem płótnie swego ucznia szkicuje portret Maryli, najstarszej z Güntherówien. Niestety, po odjeździe Rustema, zanim wyschły farby, jakaś nieostrożna ręka zsunęła włosy na oczy. Trzeba było poprawiać i wykańczać, co dużo ujęło wdzięku malowidłu.

Wspomniany z powodu przyjazdu Rustema do Dobrowlan, Bachmatowicz był prześlicznym, szlachetnym i pełnym prostoty, a należącym już do przeszłości — typem artysty-rezydenta, nauczyciela młodych panienek, kształcących się „w talentach", a zarazem przyjacielem, niemal członkiem rodziny, uczestnikiem jej trosk, uciech i zabaw.

Sylwetkę jego maluje nam Gabrjela z tkliwem wzruszeniem. „Między uczniami Rustema nie było złego człowieka; zdawało się, że dobroć, szlachetność, uczynność, bezinteresowność przechodziły z mistrza na uczniów i nasz Bachmatowicz chyba tem grzeszył, że te cnoty do ostateczności doprowadzał: skromność

do nieśmiałości, a bezinteresowność — do drażliwości".

W szeregu drobnych epizodów, rozrzuconych po kartach pamiętnika, ukazuje nam Gabrjelka skarby duszy tego franciszkańskiego artysty, zdobiącego kaplicę dobrowlańską „w różne aniołki i godła kościelne" i z gestem obrażonej godności odrzucającego rulonik rubli, który mu za tę pracę dyskretnie podsunął Günther.

„Kochany Bachmatowicz", „poczciwy Bachmat", inaczej się nie mówi w pamiętniku o tym cichym człowieku, który wreszcie w r. 1837 dogorywa w Dobrowlanach na suchoty, słabnącą jeszcze ręką kreśląc codzień bileciki „na dzień dobry" dla swoich uczennic, prosząc w testamencie, aby go nie chowano we fraku, ale w starem odzieniu, i żegnając rodzinę Güntherów „z miłością syna i brata".

* * *

Pierwsza część pamiętnika urywa się na roku 1843, który jest rokiem śmierci matki i babki Gabrjeli Güntherówny, wówczas już autorki tomiku „W Imię Boże", a potrosze i sensatki, która przekładała literackie pogawędki z Ignacym Chodźką, nad uciechy karnawałowe. Jest w tym pamiętniku rażąca luka: zupełny brak wspomnień o przeżyciach sercowych dwudziestoletniej panny. Pruderja, duma, czy subtelna dyskrecja w stosunku do najgłębszych swoich uczuć, ta sama dyskrecja, która kazała jej przemilczeć w książce, przeznaczonej „dla obcych", szczegóły osierocenia swego, „spisane gorąco z pod łez" w osobnym pamiętniku?

Jakiekolwiek byłoby źródło tych przemilczeń, stwierdzić trzeba, że ujmują one dużo wdzięku tym objektywnym bądź co bądź wspomnieniom, w których autorka niemal zawsze jest widzem, prawie nigdy — aktorem. Widać, że pamiętnik był pisany w późniejszym wieku, z rozwagą matrony, ze spokojem dojrzałego sądu, który z tych zwierzeń, tchnących życiem i prawdą, starł puszek młodości.

Z tem żywszem zaciekawieniem czekamy wydania dalszego ciągu pamiętnika, który może uchyli nam nieco rąbka tajemnicy, ukrywającego zazdrośnie duchowe oblicze tej uczennicy Odyńca i Chodźki, a zarazem jednej z pierwszych współpracowniczek „Bluszczu", której poezje przemawiają do nas z pożółkłych roczników naszego pisma głosem szczerego i głębokiego liryzmu.

HANNA SKARBEK

MIASTO WZOROWEJ BURŻUAZJI

W okresie pierwszych dni spędzonych w obcem, nigdy na „żywe oczy" nie oglądanem, w dodatku cudzoziemskiem mieście — przeżywamy pewien proces konfrontacji, wynikający z niewspółmierności, jaka zachodzi pomiędzy naszem wybujałem o tem właśnie mieście wyobrażeniem, a namacalną rzeczywistością.

Następuje gruntowna zmiana w ustosunkowaniu się do rzeczy widzianych, czego wynikiem jest zazwyczaj nieuniknione rozczarowanie... W tym wypadku chyba jedynie Paryż wytrzymuje tę próbę ogniową, rozsadza najfantastyczniejsze o nim wyobrażenie i objawia się naszym oczom wspaniały, bajecznie kolorowy, zwycięski.

Bruksela... nie porywa od pierwszego wrażenia, nie chwyta za serce. Nawet po kilku dniach wciąż trudno jest się połapać, co do istotnego charakteru tego szeroko rozrzuconego i bogatego miasta. Owszem, jest piękna, ładna, rzec można, *biała*, dzięki przemożnej ilości białych kamienic oraz szerokim, pełnym światła, powietrza i nieba, ulicom Stolica ta nie ujawnia swych cech charakterystycznych na poczekaniu... tak, jak np. wspomniany już Paryż.

Wyczuwa się chyba nieomylnie, że miasto to jest par excellence burżuazyjne; dba się w niem przedewszystkiem o dobrobyt, ład, porządek i wszelką wygodę w życiu prywatnem. Wyczuwa się też pewną jednolitość zamiłowań i upodobań, zarówno w sferach najniższych, jak i najwyższych, do szpiku kości przepojonych dążeniem do oszczędzania i jeszcze raz oszczędzania każdego grosza!

Po niezliczonych katastrofach i kryzysach, spowodowanych tragedją wielkiej wojny — zamiłowanie do oszczędności w społeczeństwie belgijskiem przechodzi poprostu w manję. Zresztą, społeczeństwo to posiada przedziwne, zdawać się może, wręcz przeciwne sobie cechy, wynikające z zupełnego zlania się w jedną całość dwu ras: germańskiej i romańskiej. Belgijczyk, odlany, niby ze spiżu — jest konglomeratem cech flamandczyka pur sang i francuza. A więc jest pracowity, wytrwały, skrzętny a oszczędny, posiada przy tem ogromne zamiłowanie do humoru, swawoli, ba! powiedziałabym nawet — pewnej frywolności w życiu

Belgijka — jak mię informowano, jest uosobieniem wszelakich, zapewne, cnót rodu niewieściego! To nie można angielka, sąsiadka zza kanału La-Manche, posiadająca wielki „porządek w głowie" i praktyczność życiową, ale pozwalająca sobie dzień w dzień

na urwanie dobrych kilku godzin na rozkosze sportowe; to również i nie francuzka, najbliższa sąsiadeczka, tak bardzo lubująca się w pięknych fatałaszkach, gotowa każdego wieczora bawić się i flirtować.

Belgijka pozostaje niewzruszona na wpływy i flaidy swych bogatych sąsiadek: zostaje sobą w każdym calu i robi swoje.

Nie pali się ani do sportów, ani do gałganków, ani do polityki. Zajęta przedewszystkiem skrzętnem przysparzaniem dobrobytu w domu (służąca stała uważana jest tu za luxus nie do darowania) i wychowaniem dzieci, bez względu na to, co robi i ile wydaje — stara się zawsze co miesiąc, ba! nawet co tydzień odłożyć parę franków na czarną godzinę. Wszyscy, zarówno dzieci, jak dorośli; posiadają tu własną skarbonkę. Charakterystycznem jest, że belgijka na własną rękę z ogromnem zamiłowaniem gra na giełdzie, kupując i sprzedając rozmaite papiery wartościowe i akcje. Chętnie i radośnie uprawia też muzykę, bardzo interesuje się malarstwem, pozostawiając literaturę w pewnem zaniedbaniu. W ostatnich latach młode dziewczęta, żądne nauki, rzuciły się do uniwersytetów. Uprzywilejowanym fakultetem stał się prawniczy, dający belgijce szerokie pole do popisu (jest elokwentna, śmiała i logicznie rozumująca) oraz niezły kawałek chleba.

Przykład idzie, oczywiście, zgóry, od bardzo popularnej i lubianej tu królowej Elżbiety, królowej - sawantki, posiadającej uniwersyteckie wykształcenie wielkiej miłośniczki muzyki i protektorki artystów wszelkiego rodzaju. Królowa gra sama b. pięknie na fortepianie i skrzypcach, należy do wszystkich „jury" i nie ominie żadnego koncertu, czy wystawy w stolicy. Monarchini jest bardzo czynną: od wczesnego ranka można ją spotkać w towarzystwie swej jedynaczki, księżniczki Marie - José. jak we własnem aucie, kierując często sama — śpieszy do ochronek, żłobków i szpitali. Królowa słynie też szeroko ze swego dobrego gustu i wielkiego smaku, będąc najmodniej i najszykowniej ubraną kobietą w kraju. Była też, pono, pierwszą królową europejską, która nie zawahała się przed paru laty, gdy taki przyszedł rozkaz mody, obciąć sobie włosy „à la garçonne", nie troszcząc się zbytnio, jak do nich będzie pasowała tradycyjna korona królewska...

Wracając do zewnętrznego wyglądu stolicy, muszę zaznaczyć, że miasto czyni stale wrażenie odświętnie wyczyszczonego, wyprzątniętego na jakąś wielką uroczystość.

No i, oczywiście, musiałam się zaraz dowiedzieć że lwia część wysiłku przy utrzymaniu tego wzorowego porządku — leży na barkach... niewiasty belgijskiej. Według tradycji i zwyczajów brukselskich. do obowiązków służącej lub przychodniej każdego apartamentu — należy wymycie „swego kawałka" ulicy przed domem. Parę więc razy na tydzień, przy pomocy odpowiednich szczotek, gorącej wody i mydła szoruje taka „madame" swoją działkę zawzięcie, przyczyniając się do utrzymania wzorowego porządku i nigdzie indziej niewidzianej czystości na mieście. Nie wyobrażam sobie czegoś podobnego w kochanej Warszawce!!

Królowa belgijska

Estetykę zewnętrzną miasta podnoszą też ślicznie udekorowane okna. Coprawda, w stolicy kraju, słynącego z przepięknych koronek, trudno byłoby spodziewać się czego innego, ale belgijka stwarza istne cuda, kombinując hafty, koronki i płótno. Każde okno staje się wystawą firanek, zasłonek, zazdrostek. Na każdym kroku widzi się tu ochędóstwo, czystość i dobrobyt, do których utrzymania przyczynia się przedewszystkiem — kobieta.

Jeśli się już tyle rzekło o ładzie - składzie par excellence w Brukseli ,trudno pominąć milczeniem inne rysy charakteru belgijczyków. Mam tu na myśli zamiłowanie do swawolnego, lekkiego humoru, którego dowodem służyć może jeden pomnik w Brukseli. Przyznam się, że przystępuję do opisu z pewnem zażenowaniem, wynikającem z przedziwnej u nas pruderji, gdy chodzi o poruszenie tematów — nieco drażliwych.

Księżniczka belgijska Marja José.

Gdy cudzoziemiec przybędzie do stolicy tego sympatycznego kraju, każdy belgijczyk, czując się w obowiązku sprezentowania mu wszelkich osobliwości w mieście, pośpieszy przedewszystkiem pokazać mu „najstarszego obywatela Brukseli", powszechnego faworyta, figurę malutkiego, golusieńkiego Manneken-Pis, który na placu publicznym tworzy prześmieszną fontannę. Jest tak milutki, że trzeba mu to wybaczyć, a nawet, na wyraźne życzenie gospodarza, zachwycić się nim i usłyszeć, że hen! kiedyś przed laty, był synem zamożnej rodziny mieszczańskiej, która trzęsła miastem. Swawolny malec uciekł któregoś dnia z domu i zaginął, a gdy zrozpaczeni rodzice tracili już nadzieję odzyskania jedynaka, napotkano go właśnie na tym placu, zupełnie golusieńkiego, załatwiającego najspokojniej w świecie fizjologiczną potrzebę... Uszczęśliwieni rodzice, nie dość, że obdarowali wszystkie kościoły, prosząc o nabożeństwa dziękczynne — ale wystawili małemu pomnik w tej „funkcjonującej" postawie, w jakiej go znaleziono...

Odtąd pomnik ten stał się oczkiem w głowie mieszkańców Brukseli. Najbardziej ciekawym jest fakt, że Manneken - Pis otrzymał po wojnie rangę kaprala... i posiada aż 100 przepięknych mundurków wszystkich literalnie pułków, nietylko krajowych, lecz i cudzoziemskich, — bowiem wśród licznych dowodów sympatji, jakie otrzymała Belgja po wojnie — znalazł się i ten dobroduszny, a groteskowy pomysł umundurowania powszechnego faworyta.

Manneken - Pis posiada własnego kamerdynera, który w ściśle wyznaczone dnie, ubiera golaska w piękne mundurki wojskowe, przy dźwiękach odpowiednich hymnów, poczem mieszkańcy Brukseli oddają mu należne honory. Stoi więc sobie na placyku, dumny ze swej przeszłości, zazdrosny o sławę „najstarszego obywatela Brukseli", ogólnie lubiany i adorowany.

W okresie zaś „ciężkich lat wojny służył przykładem dla swoich rodaków, zachowując się z niezmąconym spokojem, a nawet z pewną nonszalancją wobec groźnych i okrutnych okupantów.

Niestety, nie mogłam w żaden sposób się dowiedzieć, na jakiego obywatela wyrósł ten obiecujący chłopaczek i czego, właściwie, w życiu dokonał...

Bruksela — w lipcu.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

Festival ku uczczeniu setnej rocznicy śmierci Wojciecha Bogusławskiego: „Bolesław Śmiały" — St. Wyspiańskiego

Do wyjątkowo szczęśliwych pomysłów dyrekcji teatru Polskiego należy niewątpliwie ten wieniec, upleciony z najpiękniejszych kwiatów dramatu polskiego, ku uczczeniu twórcy sceny narodowej. W tym reprezentacyjnym łańcuchu brakuje może tylko Słowackiego, jako jedynego ogniwa, bez którego nie da się związać w całkowitą drabinę hierarchiczną pojedyńczych szczebli rozwojowych dramaturgji polskiej — od „Cudu mniemanego" i „Fircyka w zalotach" począwszy, aż do „Niespodzianki".

Takie zestawienie poszczególnych etapów tej drogi, na której duch polski zatykał płomienne wici genjuszu, mogłoby mieć pierwszorzędne znaczenie wychowawcze, nietylko dla przeciętnej publiczności teatralnej, ale i dla krytyków, którzy ustawicznie powinni kontrolować swój teoretyczny stosunek do sztuki sprawdzianem emocjonalnym.

Trudno jednak wymagać, aby teatr prywatny wziął na swe barki ciężar, „z wieku i z urzędu" przynależny scenie narodowej. Podnieść jednak należy zarówno szlachetność jego ambicji i wysoką skalę artystycznego wysiłku, jak wyjątkowo czystą atmosferę surowego pietyzmu, zazdrośnie chroniącą od nowoczesnych nalotów i eksperymentów arcydzieła polskiej sceny, a zarazem historyczne jej zabytki.

Ten pietyzm doprowadzony został do wzruszającej, niemal rytualnej ścisłości w odtworzeniu „Bolesława Śmiałego" wedle pierwowzoru. Żadnych ino-

wacyj, żadnych odchyleń. Dekoracje i kostjumy wiernie skopjowane przez Frycza ze szkiców, jakiemi Wyspiański przyodziewał swoje wizje sceniczne. Nawet Schiller, ten najbardziej nieobliczalny z reżyserów, zazwyczaj bezwzględnie tratujący indywidualność twórcy w pogoni za własną inwencją, tu wziął za rogi swój nieokiełznany temperament i kazał mu pokornie chodzić w jarzmie kultu dla twórcy, którego renesansowa iście samowystarczalność nie tolerowała cudzej współpracy, przewidując wszystko, nawet gest aktorski. Dlatego może ani nazwisko Frycza, ani Schillera nie figurowało na afiszu, choć ich benedyktyński mozół rekonstrukcyjny zasługuje na najwyższe uznanie.

W ramach, jakie teatr Polski dał „Bolesławowi Śmiałemu", uwidoczniła się jeszcze raz wytarta, jak szeląg, a jednak zawsze świeża prawda, że arcydzieła się nie starzeją. W perspektywie lat ani o włos nie zmalał ten piastowski nadczłowiek, który tyleż ma w sobie z chłopa, co z tytana. My tylko może dorośliśmy o tyle, żeby zdać sobie sprawę z wysokości lotów tego, co, jak król Bolesław, Szczodry był i Śmiały, i jak on, tragicznie załamywał się pod srebrną trumną z widmami.

Znowu w naszych oczach starły się w śmiertelnym boju dwa światy: chrześcijański i pogański, dwa królestwa: biskupa i Krasawicy, które napróżno w swej żelaznej dłoni chciał pogodzić mocarz, sprawujący sądy w dworzyszczu, co razem gontyną jest i gumnem gospodarskiem. Zmieszał się znowu zapach ziół guślarskich z dymem gromnic, ciskanych o ziem pod nogi wyklętego króla, — ożyła wizja przeszłości, jak skamieniały rycerz, rozkuty z głazów zapomnienia.

Całość była potraktowana z tą żywiołową pasją bezpośredniości, która sprawia, że postacie dramatu płoną, jak żywe pochodnie, nie zatracając cech wieczystego człowieczeństwa. Były jednak w interpretacji aktorskiej pewne odchylenia od tej naczelnej koncepcji.

Adwentowicz wraz z chłopską sukmaną jakby przywdział duszę chłopską. W jego Bolesławie zadużo było chama, który się dorwał do władzy i miecza, zamało — obytego z tronem dynasty.

Pancewiczowa w roli Krasawicy dała wszystko, co w tej postaci chciał ucieleśnić Wyspiański: pierwotność dziecka natury w połączeniu z majestatem ostatniej latorośli rodu, dzierżącego od wieków w swem ręku wiedzę tajemną. Junosza Stępowski trochę był skrępowany sztywną zbroją. Trudniej jest widać być na scenie średniowiecznym biskupem, niż nowoczesnym monarchą konstytucyjnym. W każdym razie, ani śladu niedawnego jeszcze lowelasa i uwodziciela. „Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie!" — Buszyński, jako Rapsod, dał pięknie wystylizowany patos. Kunina w roli obłąkanej wywoływała balladową grozę.

S. P. O

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

PIERWSZY OGÓLNOPOLSKI ZJAZD KOBIET Z WYŻSZEM WYKSZTAŁCENIEM

W dniach 29 i 30 czerwca odbył się w Poznaniu pierwszy ogólnopolski zjazd Stowarzyszenia kobiet z wykształceniem uniwersyteckiem (Fédération des femmes diplômées des universités — section polonaise).

Zjazd zagaiła przewodnicząca oddziału poznańskiego p. dr. Parczewska, oddając przewodnictwo p. Męczkowskiej z Warszawy.

P. doc. dr. Dobrzyńska-Rybicka (Poznań) wygłosiła referat „O emocjonalnem myśleniu", zakreślając granice myślenia intelektualnego i emocjonalnego. Człowiek, którego rodzaj myślenia jest tylko emocjonalny, podobny jest do nurka, zamkniętego w szklanym dzwonie i odciętego od świata rzeczywistości. Jedną z przyczyn, utrudniających objektywny sąd w procesie myślenia, jest uczucie, które czyni jednostronnemi nasze wrażenia. Nie należy jednak lekceważyć myślenia emocjonalnego, które stanowi bardzo ważny czynnik naszego rozwoju; dowodem — intuicja, niezastąpiona w procesie twórczym.

Dr. Lechicka ze Lwowa wygłosiła referat na temat „Sprawa kongresu w Genewie". W związku z tą sprawą wywiązała się ożywiona dyskusja; obradowano nad założeniem międzynarodowego klubu z zakresu medycyny, następnie nad kwestją wydania bibljografji pism kobiet polskich z wszystkich dziedzin nauki.

Krótki, rzeczowy, w przejrzystą formę ujęty referat, p. t. „O współczesnej edukacji kobiet w Polsce", wygłosiła posłanka Jaworska. Prelegentka wskazała na brak koordynacji między domem a szkołą, jako jeden z czynników, działających ujemnie na racjonalne wychowanie. Warunki współczesnego życia zmusiły kobietę do walki o byt i do pracy zarobkowej. Jeśli szkolona będzie wyłącznie w jednym kierunku, wówczas pewne pola pracy będą dla niej zamknięte. Stąd wypływa konieczność zawodowego kształcenia kobiet, które otwiera im nowe, niewyzyskane dotąd tereny. Prelegentka poddała krytyce zbytni nacisk, jaki się kładzie obecnie na rozwój fizyczny młodzieży, kosztem rozwoju intelektualnego i psychicznego. Domagą się uspołeczniania młodzieży, budzenia w niej uczuć obywatelskich, zarówno w szkołach średnich, jak zawodowych.

Referat dr. Stelmachowskiej o reformie szkolnictwa żeńskiego w związku z istniejącemi w Wielkopolsce typami szkół — ukazał się w ubiegłym numerze „Bluszczu". W ożywionej dyskusji, wywołanej temi dwoma referatami z dziedziny szkolnictwa, brały udział niemal wszystkie uczestniczki zjazdu.

W drugim dniu obrad p. Męczkowska z Warszawy wygłosiła referat „O celach i zadaniach Stowarzyszenia". Równouprawnienie kobiet, zatwierdzone konstytucyjnie, w wielu wypadkach jest tylko fikcją, gdyż bardzo mało kobiet zajmuje stanowiska kierownicze. Praca kobiet powinna wnieść do społecznego życia nowe, twórcze pierwiastki. Stowarzyszenie Kobiet z wyższem wykształceniem ma stanąć na czele akcji, która, udostępniając kobietom pracę na wszystkich polach, będzie dążyła do wytworzenia nowego typu kobiety-pracowniczki. Akcja ta może być owocna, tylko w tym wypadku, gdy każda kobieta z wyższem wykształceniem będzie się poczuwała do obowiązku należenia do Stowarzyszenia, jeżeli nie w zrozumieniu interesu własnego i ogólno-kobiecego, to chociaż w poczuciu dumy narodowej, która nie pozwoli polkom pozostać wtyle poza Europą i w każdym zespole międzynarodowym każe im zająć miejsce, godne wielkich tradycyj i twórczych wartości kultury polskiej.

Z TYGODNIA ROLNICZEGO W POZNANIU

„Pewuka" — tak popularnie zwana Wystawą Powszechną Krajową w Poznaniu — dała powód do tylu zlotów, zjazdów koleżeńskich, korporacyjnych, uczonych i t. p., że był w lipcu dzień taki, w którym jednocześnie 137 rozmaitych wycieczek zwiedzało tereny wystawowe i zapełniało ulice wielkopolskiej stolicy niezwykłym dla niej ruchem i hałasem.

Kulminacyjnym jednak punktem wszelkich zjazdów były zjazdy Ziemianek i Ziemian, które się odbyły w ciągu tak zwanego rolniczego tygodnia.

Olbrzymie pawilony - namioty wyciągnęły się długiemi rzędami daleko poza terenami zachodniemi wystawy. Wspaniałe rasowe konie, bydło, trzoda, owce, drób i drobne zwierzęta domowe zapełniały to czasowe leże. Tysiące przyjezdnych ziemian i rolników i tysiące mieszczuchów, niebardzo umiejących odróżnić krowę od wołu, napełniały olbrzymi plac pomiędzy pawilonami i przesuwały się zwartemi szeregami w wąskich przejściach około poszczególnych stoisk. Wesoły gwar głosów łączył się z ryczeniem, bekiem, rżeniem, pianiem kogutów, krzykiem gąsiorów i gulgotaniem indyków — w jeden olbrzymi jazzband, bardzo hałaśliwy wprawdzie, lecz nie pozbawiony swoistego wdzięku. Najciszej się zachowywały poczciwe świnki. Upasione wspaniale, zmęczone wrażeniami drogi i upałem, spokojnie leżały dnie całe na miękkiem a czystem posłaniu ze słomy, witając jedynie radosnem pochrząkiwaniem nalewane do korytek smakowite jadło.

Codziennie tłumy znawców i laików mogły oglądać oprowadzane po majdanie między pawilonami konie. A było na co patrzeć! Mniej widzieliśmy anglików, niż na dawnych wystawach z czasów niewoli. Zato śliczne araby i anglo-araby o szlachetnych linjach głów i szyi i rozumnych, nieomal ludzkich oczach. Prym trzymały cudne araby z Dobrojewa, mające własny pawilon, z całym możliwym komfortem urządzony. Obok tych arystokratów rodu końskiego — silne konie pociągowe, mocno zbudowane fornalki, ogiery, należące do sejmików i stadnin państwowych, przeznaczone do uszlachetniania koni roboczych i użytkowych.

Niezliczone, na tysiące się liczące, krowy. Pieszczone, codziennie czyszczone i myte pieszczochy. Co do ras, niedużo, lecz pięknych Simentalerów z Małopolski. Więcej czerwonej rasy polskiej białostockiego związku hodowli bydła czerwonego, czerwono-białej, związku hodowlanego „Warszawa", i najwięcej rasy nizinnej, biało-czarnej. Każda prawie obora wykazuje po kilka lub kilkanaście krów.

System przyznawania nagród jest bardzo dobry. Niekoniecznie otrzymuje nagrodę grupa cała. Poszczególne sztuki mogą być też wyżej lub niżej nagradzane. W taki sposób niekoniecznie największe grupy otrzymują najwyższe nagrody, jak to do niedawna miało miejsce na wystawach. Natomiast nieduże liczebnie, dobrze prowadzone obory — słusznie bywają nagradzane. Naprzykład, w jednej z podwarszawskich obór (Pilaszkowskiej) naliczyłam aż pięć złotych, cztery srebrne i trzy bronzowe medale; zapisałam je sobie na chybił trafił, bo nawet nie zanotowałam, która z obór wzięła nagrodę najwyższą i dyplom honorowy.

Zato zauważyłam odrazu, że ten dyplom honorowy widnieje nad chlewnią z Bychwy, a wielki medal złoty nad chlewnią ze Snopkowa. Górą Lubelskie!

Z owiec najbardziej mi się podobały Rambouillety z Gałowa, ale widocznie nie znam się na owcach, gdyż najwyższą nagrodę wzięły owce z tegoż Snopkowa — za hodowlę owiec nie na wełnę, lecz na futra, bo na karakuły. Drugi złoty medal otrzymały owce p. Targowskiego — nazwy majątku nie zapamiętałam.

Te cudne okazy hodowlane tak mnie zaabsorbowały, że zupełnie zapomniałam, iż nie o nich mam pisać, a o całokształcie tygodnia rolniczego.

Zjazd Ziemianek, niezwykle liczny i obesłany przez wszystkie dzielnice kraju, ograniczył swe prace do jednego posiedzenia w białej sali Bazaru. Przewodniczyła w nieobecności chorej p. Marji Czarnowskiej — której przemówienie odczytano — przewodnicząca poznańskiego koła, hrabina Brezina. Po oficjalnych powitaniach, między któremi nie brakło i przemówienia przyjaciela pracy kobiet, biskupa Dymka, ks. Lubomirska zdała bardzo obszernie sprawę z Kongresu Kobiecego w Bukareszcie, omawiając detalicznie jego przebieg i każdą uchwałę. Hr. Kwilecka i pani Szczaniecka zdały szczegółowo sprawę z budowy i urządzenia pawilonu Ziemianek i Włościanek. Dzięki umiejętnemu prowadzeniu interesów, jest on nietylko zupełnie opłacony, lecz pozostało nawet spore saldo na nieprzewidziane koszta wystawowe.

Prawdziwym „clou", kulminacyjnym momentem zjazdu było przemówienie p. Zofji Zaleskiej o roli kobiety - ziemianki za lat dawnych, poprzez lata niewoli, do szczęśliwych dni dzisiejszych. Nie lubię używania wysokich haseł, pomnąc na przykazanie z dekalogu: „Nie będziesz brał Imienia Pana Boga Twego nadaremno", — lecz w tym poszczególnym wypadku nazwa odczytu „Z Bogiem i Narodem", całkowicie pokrywała się jego wspaniałą treścią. Rzęsiste oklaski kilkakrotnie przerywały prelegentce.

Po wspólnym obiedzie — nota bene, wcale smacznym, co, niestety w Poznaniu stale jest rzadkością — nastąpiło wspólne zwiedzenie pawilonu Ziemianek i Włościanek, podwieczorek w kawiarni Pań Kresowych i dwie wycieczki na tereny wystawowe. Pierwsza, pod przewodnictwem Pana Inspektora

Woźnego, poszła oglądać dział ogrodniczy wystawy— o czem kiedyś obszerniej napiszę; druga, z p. Szumanem na czele, podążyła w kierunku kurników.

Na dnie następne po otwarciu Zjazdu Ziemian, który nastąpił w sobotę, 6 b. m., projektowano szereg wycieczek do wzorowych gospodarstw drobiowych. Czy doszły one do skutku, nie wiem, bo do Kórnika, którego szkołę gospodarczą i zbiory historyczne miało zwiedzić kilkadziesiąt pań, przyjechało nas w naznaczony dzień i godzinę — zaledwie cztery, z których dwie nie były zapisane.

Ale bo właśnie zaczął się szereg rozrywek: Raut Ziemian, bal Ziemianek, Polo na arenie wystawowej. A jeśli nasi Ziemianie — a szczególnie nadobne Ziemianki — dobrze pracować umieją, to w zabawie też nikomu wyprzedzić się nie dadzą.

Pani Elżbieta.

VII.

SZTUKA KUPOWANIA

Wydawać umiejętnie pieniądze jest nieraz o wiele trudniej, aniżeli je zarabiać.

Przeważnie jeszcze mężczyzna zdobywa pieniądze — kobieta wydaje. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ilość rodzin i liczbę samodzielnie zarobkujących kobiet, to utwierdzimy się w przekonaniu, że najwięcej wydającemi są kobiety. Przekonują o tem zresztą dane statystyczne, wykazujące, ile miljardów przechodzi przez ręce kobiet, jako gospodyń.

Nie jest zatem rzeczą obojętną nietylko, na co są wydane pieniądze, ale również, jak są wydane. Kupowanie jest sztuką, którą zdobywa się doświadczeniem. Błędnem jest mniemanie, że wystarcza wziąć pieniądze, aby móc kupić to, co się chce, lub to, co jest potrzebne. Często jeden i ten sam towar, lub produkt spożywczy będzie miał cenę i jakość różną, zależnie od dzielnicy. Często zależeć to będzie wyłącznie od wytwórcy, lub sposobu prowadzenia danej firmy.

Obowiązkiem jest tedy dobrej gospodyni i mądrej, dbałej o własną kieszeń pani domu, tak kupować, aby to było dla jej domu z jaknajwiększą korzyścią. Kupująca powinna wiedzieć przedewszystkiem, czego chce, co jest jej potrzebne, jaki towar do czego służy, tem się kierować przy kupnie i znać się na tem, co kupuje. Gdyby wszyscy kierowali się taką zasadą, nie bylibyśmy świadkami niezdecydowania w sklepach przy kupnie, długiego przebierania w towarach, absorbowania czasu swego i sprzedawcy, nadużywania jego uprzejmości i cierpliwości. Nie byłoby niezadowolenia z kupionej rzeczy lub praktykowanej zamiany towaru, często z krzywdą własną. Bo lepiej nie kupić wcale, aniżeli kupić to, co się nie podoba, nie odpowiada nam, lub zostało wzięte wprost przez uprzejmość.

Kupować należy zawsze towary najlepsze, wychodząc ze słusznego założenia, że wszelka tandeta jest sprzeczna z teorją oszczędności, a produkt sfałszowany często bywa szkodliwy dla zdrowia. Dziś ta zasada musi obowiązywać, szczególniej wobec głoszonych na całym świecie haseł racjonalnej, wszechstronnej oszczędności i również racjonalnego odżywiania, opartego na podstawach badań i doświadczeń naukowych.

Tedy pani, kupując np. produkty spożywcze, powinna wiedzieć, jakie i w której porze roku są odpowiednie na posiłki ranne, obiadowe i t. p. Znać powinna firmy, które produkują dany towar w gatunku najlepszym i, znając źródła zakupów, tylko takich towarów żądać od swego dostawcy lub kupca.

To samo dotyczy kupna naczyń, mebli, ubrania. Im większy i poważniejszy będzie wydatek, tem więcej wymaga uprzedniego zastanowienia. Naprzykład, mebel kupiony musi nam towarzyszyć przez bardzo długi okres czasu. Nabycie więc mebla nieodpowiedniego naraża nas na niewygodę, lub przykrość obcowania z przedmiotem, który się nam nie podoba.

Zupełnie analogiczny będzie skutek przy kupnie ubrania. Paniom tak często podoba się coś nagle, kupują to bez rozwagi, a potem trzymają w szafie bez użytku, lub noszą z miną nadąsaną i obrażoną. Często też kupują rzeczy zgoła niepotrzebne, bo trafiła się potemu okazja.

Taką wędką na lekkomyślność kupujących kobiet są różne wyprzedaże „poinwentarzowe" i „posezonowe", z wyjątkiem specjalnych tygodni, urządzanych przez duże firmy. Zapewne, często można na nich kupić rzeczy dobre za względnie małą cenę, ale przeważnie kupiec wyprzedaje wszelkie bezużyteczne remanenty, przygotowując sobie w ten sposób sklep na nowy, nadchodzący sezon.

Na ladach sklepowych leżą jakieś odwieczne torsadki, niemodne wstążki i materjały, lub suknie, których bez przerobienia nosić nie można. Często po przyniesieniu do domu i bliższem rozpatrzeniu takiego zakupu, nie wiadomo, co z nim zrobić. Kupowanie rzeczy niepotrzebnych, dlatego tylko, że jest potemu okazja, że mogą się kiedyś, na coś przydać — jest krzywdą dla własnego budżetu i przeczy zasadzie racjonalnej oszczędności.

Przy kupowaniu zależeć nam powinno nietylko na tem, co się kupuje i poco, ale i jak się kupuje. Zwracać tu trzeba baczną uwagę na porządek i czystość w sklepach, szczególniej spożywczych. Od jakości towaru zależy przecież zdrowie domowników. Towar powinien być świeży, należycie przechowany,

latem trzymany w chłodniach; obsługa czysto ubrana, a towar należycie opakowany. Stanowczo trzeba wypowiedzieć walkę pakowaniu w gazety, lub torebki ze starych kajetów.

Należy również przyzwyczajać kupców do odsyłania większych paczek do domu, o co u nas można się zaledwie gdzieniegdzie doprosić, a także o zorganizowanie dostaw do domów. Zagranicą pani lub służąca, nie wychodząc z domu rano, otrzymuje od dostawcy nabiał, pieczywo, owoce, jarzyny. U nas dostawa nabiału ma często formę prymitywną i nieraz sprawia zawody. O systematycznej dostawie innych produktów niema mowy. A przecież w interesie racjonalnego oszczędzania pracy powinny nasze gospodarcze stowarzyszenia kobiece domagać się tego stanowczo. Kupujące powinny stawiać swoje wymagania, do których kupcy i wytwórcy obowiązani są dostosować się w dobrze zrozumianym interesie własnym.

Od kupujących również zależy popieranie i propagowanie wytwórczości krajowej i wynajdywanie na rynku takich wyrobów krajowych, któreby w zupełności zastąpiły zagraniczne.

Wielką pomocą w tem może być dobrze zorganizowana reklama, tak u nas słaba, zapoznana, tak źle zrozumiana. Z jednej strony kupiec, któremu „idzie" interes, lub który ma starą, wyrobioną firmę, uważa za rzecz zbędną, wprost za ujmę dla swego interesu — reklamowanie swojej firmy. Z drugiej strony, wśród kupujących często daje się słyszeć zdanie, że firma ta lub owa musi być zła, skoro się często ogłasza.

Biegunowo różne pod tym względem są poglądy amerykanów. Tam spożywca ma zaufanie tylko do takiej firmy, która się dużo, pięknie i wszędzie ogłasza. Wychodzi z tego założenia, że o rzeczy dobrej należy mówić głośno, z dumą, a przypominać o niej tym, którzy mogą jej jeszcze nie znać. Dobry towar ma licznych odbiorców, dlatego może się jeszcze ulepszać, a jego wytwórcę stać na ogłoszenie. Wystarczy wziąć do ręki prześliczne amerykańskie miesięczniki kobiece, aby poza bogatą treścią znaleźć niesłychane ilości ogłoszeń. Nietylko są one duże, ale opracowane artystycznie i stylistycznie, wytworne i estetyczne. Czytelniczka ma możność wyboru, a często też spotyka uwagę wydawcy, że w jego piśmie ogłaszane są tylko te firmy, które są uważane za chlubę kraju, które są „national".

O wartości i ważkości reklamy nie trzeba tam przekonywać nikogo. Na kilku uniwersytetach amerykańskich odbywają się specjalne kursa reklamy, gdzie liczni słuchacze uczą się teoretycznie i praktycznie, w jakiej formie, gdzie i po co trzeba stosować reklamę. Główną wartość przywiązują tam do ogłoszeń, zamieszczanych w tygodnikach i miesięcznikach, wychodząc z tego założenia, że jest tu ściślejszy kontakt i trwalszy stosunek pomiędzy prenumeratorem i wydawcą, a stąd z jednej strony zaufanie, z drugiej — obrona interesu.

U nas, jak zaznaczyliśmy, jest pod tym względem zupełnie „inaczej". Reklama bywa przeważnie drobna i brzydka, bo kupiec, umęczony jarzmem podatków, na ładniejszą nie ma pieniędzy. Kupujący zaś często nie zwraca żadnej uwagi na reklamy, w tem lekceważącem przekonaniu, że to reklamy właśnie.

A jednak ta lekceważona przez nas reklama może nieraz uświadomić nas, gdzie i kiedy możemy coś nabyć. Oszczędza nam tem samem czasu i sił na wyszukiwanie towarów. Daje nam znać o sezonowych produktach i wyrobach, o różnych nowościach. Oczywiście, z nowościami należy być ostrożną, ale skoro od nowoczesnej pani domu wymagamy tak wiele mądrości, to i na tę jedną jeszcze zdobędzie się ona z pewnością i na lep fałszywej reklamy wziąć się nie da.

Wzorując się zaś na swych praktycznych siostrach zza Oceanu, powinna mieć zaufanie do swego pisma i w razie najmniejszej wątpliwości udawać się do niego po radę.

M. Dobrowolska

SZKODNIKI RÓŻ I ICH ZWALCZANIE

Żadna roślina zapewne nie jest tak często nawiedzana przez szkodniki, jak róża.

Jednym z najpospolitszych jej wrogów, pochodzenia roślinnego, jest **pleśń różana** (Spaerotheca pannosa), w pewnych okolicach „mączną rosą" zwana, która nietylko obie strony liścia, ale i łodygi same pokrywać lubi. Rozpoznać ją można po nalocie jasno-popielatym, bardzo trudno, a właściwie nawet wcale nie dającym się zmyć zwykłym sposobem. Liście kurczą się i opadają, a gałązki się gną i też z czasem zamierają.

Aby skutecznie zwalczyć tę chorobę, zaleca się przedewszystkiem posypywanie zaatakowanych miejsc siarką, lecz tylko wczesnym rankiem, dopóki jeszcze rosa nie opadnie i to w ciepłe dnie; o ile sposób ten okaże się zasłaby, zrasza się całe rośliny $1^1/_2\%$ roztworem siarczanu miedzi, nie częściej jednak, jak raz na 4—5 tygodni.

Drugim pasożytem, więcej pospolitym od poprzedniego i szybciej niszczącym całe krzewy, nie mówiąc już o samych kwiatach, jest **grzybek rdzawy** (Phragmidium rosae). Występuje przedewszystkiem na lewej stronie (spodniej) liścia, jako małe

plamki, początkowo rdzawo-czerwonawe, następnie prawie czarne; wżera się głęboko w liść, często przejmuje go na wylot, przez co niszczy tkanki, pozbawiając roślinę organu oddychania, co znów staje się w szybkiem tempie powodem jej śmierci.

O ile go dosyć wcześnie zauważymy, wystarczy nieraz codziennie, a nawet dwa razy dziennie, skrapiać obficie zwykłą, niezbyt zimną wodą, gdyż grzybek ten do rozwoju swego potrzebuje suszy, wilgoć zaś, o ile nie zniszczy go zupełnie, wstrzyma jego wegetację. Jeżeli sposób powyższy okazuje się zbyt mało radykalnym, trzeba co 2—3 tygodnie zrosić całe krzewy $1^1/_2\%$ roztworem siarczanu miedzi.

Pomimo, że powyższe pasożyty zniszczyć potrafią całą plantację róż, znacznie jednak więcej jeszcze wrogów mają róże pomiędzy szkodnikami pochodzenia zwierzęcego. Na pierwszym planie stawiamy bardzo pospolitą mszycę. Walka z nią jest bardzo łatwa i wcale niekosztowna. Najprostszym sposobem jest gniecenie jej palcami (o ile to komu przykrość sprawia, może się uzbroić w stare rękawiczki); jeżeli jednak ta rada nie dogadza, trzeba się zaopatrzyć w tytoń najgorszego gatunku, wygotować go i roztworem tym skrapiać róże. Kto posiada pasiekę i konieczny w niej podkurzacz, może nasypać w niego pewną ilość tytoniu, zapalić i dymem tym mszyce podkurzyć; nie będzie to jednak sposób radykalny, gdyż spłoszone gryzącym dymem i omdlałe mszyce po pewnym czasie przychodzą do siebie i zpowrotem krzewy oblegają.

Późną wiosną spotykamy na różach często maleńkie, niebieskawo-zielone chrząszczyki, wyróżniające się zawsze doskonałym apetytem i wcale niewybredne. Ci nieproszeni goście nie dadzą się zniszczyć inaczej, jak tylko sposobem następującym: rano pod krzakiem rozłożyć musimy gazety i mocno krzakiem wstrząsnąć, a potem szybko zsypać opadłe owady do jakiegoś naczynia i zalać je ukropem.

W ten sam sposób niszczymy szkodniki, zwane „czarnym wołkiem".

Na samych czubkach młodych pędów siadają często pewne muchy, które, nakłuwszy miękki jeszcze pęd, składają jajeczko; wylężona z niego gąsieniczka wżera się w głąb łodygi, poczem wywierca sobie otwór nazewnątrz i spuszcza się po wysnutej nitce na ziemię, a uszkodzona gałązka więdnie. Gdy zauważymy muchy takie na różach, musimy niezwłocznie je niszczyć, a z niemi razem spalić powinniśmy i obcięte górne pędy, na których siedziały.

Na wiosnę i w jesieni pojawiają się nieraz w wielkich ilościach inne muchy, których samiczki składają duże ilości jajek na młodych pędach, a wylężone z nich gąsieniczki rozchodzą się po całym krzaku, objadając, co się tylko da. Skrzętne zbieranie i gniecenie ich jest jedynym środkiem walki.

Poza muchami — są ćmy. Jedna z nich, różaną zwana, żółto-brunatna z metalicznym połyskiem, składa jajeczka na oczkach róż, a wylężone gąsieniczki żyją gromadnie w woreczkach, zrobionych z resztek ogryzionych liści. Zimują one w kokonach u podstawy róż i wczesną już wiosną rozchodzą się po krzaku, objadając młode listki i pączki. Najskuteczniej niszczy się je przez wyszukiwanie wczesną wiosną u podnóża krzewów osnutych kokonów i palenie ich.

Druga ćma — to złota prządka (Porthesia chrysorrhoea), której samczyk jest złocisty, samiczka zaś śnieżno-biała, a gąsienice ich szaro-czarne z żółtym włosem, rosnącym pęczkami, które przedzielają białe łatki. Samiczka znosi paręset jajek w czerwono-żółtą przędzę, którą sama wytwarza i przylepia do liści, lub do pnia róży. Wylężone gąsieniczki objadają wszystkie liście, pozostawiając tylko siatkę nerwów. We wrześniu omotują się gęstą przędzą na ogołoconych liściach i w ten sposób zimują, wytrzymując bardzo wielkie mrozy. Wiosną wychodzą ze swego schroniska, kilkakrotnie zmieniają skórę, aż w czerwcu stają się poczwarkami ciemno-brunatnemi, spiczasto zakończonemi w ciemnych, prawie czarnych kokonach. Jedynym środkiem wytępienia ich — zbieranie i palenie gniazd.

Najniebezpieczniejszym wrogiem róż jest czerwony pajączek (Tetranyhius telaryus), który żyje nietylko na krzewach róż, ale również i na najrozmaitszych drzewach liściastych i krzewach ozdobnych z rodziny ślazowatych. Maleńki to owad, ledwo gołem okiem dostrzegalny, czerwonawy i owłosiony z maleńkim, wydłużonym pyszczkiem. Ogromnie ruchliwy, zjawia się całemi gromadami, szczególnie w lata gorące i na miejscach mało przewiewnych, niszcząc liście róż doszczętnie.

Radykalnego środka na wytępienie go dotąd nie posiadamy. Dobrze działa częste zraszanie wywarem tytoniowym, skrupulatne przeglądanie liści i mycie ich. Pan B. Malecki w swej książce p. t. „Róże" — podaje nam następującą receptę p. Lamberta, hodowcy róż: ćwierć kilograma zielonego mydła rozpuścić w 4 litrach wody deszczowej i zagotować; po wystudzeniu dolać 8 litrów nafty i wymięszać, poczem, rozcieńczywszy 15—20-krotnie wodą, zraszać tą cieczą rośliny.

Walka z pasożytami roślinnemi jest znacznie łatwiejsza, gdyż umiejscowienie jej wymaga daleko mniej trudów, a przedewszystkiem, przez umiejętne obchodzenie się z plantowanemi krzewami od wielu szkód można się zawczasu zabezpieczyć. Najpierwszym warunkiem odporności roślin jest odpowiednie zasilanie gleby (dużo wapna), ochrona przed suszą, oraz ułatwienie dostępu jak największej ilości powietrza. Im krzew mocniejszy, tem mniej na nim pasożytów, mniej chorób. Każdą zaś biedę skutecznie zwalczymy, o ile się do tego energicznie i zawczasu zabierzemy.

A. D.

PIECZARKI

Patrząc na nieoczekiwany skutek zachęty, rzuconej w artykule „Co radzić“ w Nr. 18 „Bluszczu“, obserwując rosnące z dnia na dzień zainteresowanie Szan. Czytelników hodowlą pieczarek, poczuwam się do obowiązku utrzymywania z Nimi stałego kontaktu w tej sprawie, oczywiście dzięki przychylności Szan. Redakcji, orjentującej się — jak widzę — znakomicie w tym doniosłym dla kraju problemie.

A zatem, proszę Szan. Amatorów pokojowej lub większej, a nawet zawodowej produkcji pieczarek, by zechcieli desiderata swe przesyłać Redakcji „Bluszczu“, a ja zawsze w najbliższym numerze odpowiedzi umieszczać będę publicznie, rozumiejąc, że korzyść stąd będzie ogólna.

Na dziś, na kilka zapytań, jakie otrzymałem wprost, a wszystkie in puncto szczegółów, dotyczących zamawiania i sprowadzania grzybni francuskiej, zmuszony jestem w odpowiedzi wstrzymać — niestety! — zapał najpierwszych ochotników, z racji dużych i mocno nieprzyjemnych trudności, z jakie mi w ostatnim właśnie czasie połączony jest import grzybni francuskiej.

Firma C. Tellier, bowiem, zbyt obciążona coraz liczniejszemi zamówieniami z Polski, oddała ekspedycję grzybni domowi spedycyjnemu Schenker i Ska w Paryżu. Skutek zaś tego jest taki, że np. pewien mój klient w Krzesinach (10 km. od Poznania!) odebrał przesyłkę 30 kg. grzybni przez Łódź, z obowiązkiem dopłaty 63 złotych; inny klient pod Wronkami (pobliże granicy niemieckiej) — przez Warszawę, za dopłatą 43 zł.; wreszcie ja sam onegdaj otrzymałem dla moich uczniów, w przeszło 2 miesiące od zamówienia, 5 kg. grzybni z dopłatą... 36 zł!!!

Fakty te mówią same za siebie! A prócz tego przemawia i poważniejszy wzgląd: oto konieczność wstrzymania odpływu pieniądza polskiego zagranicę przez zorganizowanie wytwórni pierwszorzędnej grzybni krajowej pod najściślejszą opieką i kontrolą nauki.

Sprawa to trudna i wymagająca dużych wkładów i wielu zabiegów.

Szczęśliwy traf jednak dopomógł — i oto mam zaszczyt podzielić się z Szan. Czytelnikami radosną wieścią, iż prace nad uruchomieniem takiej wzorowej wytwórni są już zapoczątkowane i produkcja oraz wysyłka grzybni krajowej rozpocznie się pod mojem osobistem kierownictwem w najbliższych tygodniach.

Proszę zatem Szan. Czytelników o cierpliwość i o dokładne zaznajamianie się tymczasem z teorją hodowli, czerpiąc ją z mej broszury p. t. „Hodowla pieczarek“, jaką nabyć można za cenę 1 zł. 80 gr. (wraz z przes. poczt.) w „Księgarni Uniwersyteckiej“ (Poznań, ul. Gwarna).

F. Teodorowicz.

Przepisy gospodarskie

POMIDORY Z MAKARONEM

Zwykle się mówi o makaronie z pomidorami; w tym przepisie — naodwrót, gdyż pomidory stanowią tu danie podstawowe, a makaron tylko garnitur. Dojrzałe, ale jędrne pomidory, pokrajać w talarki, grube na palec, usunąć ziarnka, utarzać w mące i usmażyć na rumiano w obficie rozpuszczonym szmalcu lub oliwie. Dopiero po usmażeniu osolić bardzo miałką solą. Ułożyć w piramidkę na środku półmiska. Na sześć dużych pomidorów, co da 24—30 kawałków, odgotować dwadzieścia deka grubego makaronu, połamanego w czterocentymetrowe kawałki. Nie powinien być zanadto przegotowany, gdyż stanie się klajstrowaty. Gdy nie chrupie pod zębami, odcedzić, wrzucić na patelnię, na której się smażyły pomidory, wymięszać z pozostałym tłuszczem i sosem i obłożyć wkoło pomidory. Posypać wszystko tartym ostrym serem i natychmiast podawać.

GROSZEK ZIELONY Z RYŻEM
(Wiedeński risi - bisi)

Trzy szklanki młodego groszku wyłuskanego ugotować w osolonej wodzie. Oddzielnie ugotować na sypko szklankę najlepszego ryżu. I jedno i drugie nie powinno być przegotowane. Usmażyć w łyżce masła drobniuchno usiekane dwie cebule łagodnego smaku (hiszpańskie, cukrowe i t. p.) Włożyć do rondelka odcedzony groszek i ryż, wymięszać z przysmażoną cebulką, osolić do smaku, włożyć jeszcze dobrą łyżkę masła, przykryć rondel pokrywą i wstawić w piec na pięć minut. Na półmisku obłożyć grzankami, krutonami z francuskiego ciasta, lub też podać, jako garnitur, do sznycli, kotletów i t. p.

BUDYŃ Z KAPUSTY Z RYŻEM

Półtorakilową główkę kapusty odgotować w całości w osolonym wrzątku, odcedzić, wycisnąć mocno, uszatkować drobno. Szklankę ryżu wypłókać, nawpół ugotować — powinien jednak pozostać jeszcze twardy. Zmięszać kapustę z ryżem, dodać usmażoną w łyżce masła dużą cebulę (nie należy jej rumienić), włożyć jeszcze sporą łyżkę masła, osolić, lekko popieprzyć białym pieprzem. Wbić trzy lub cztery żółtka, wymięszać doskonale. Nakoniec dodać ubite na sztywną pianę białka. Przełożyć do budyniowej formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką, zamknąć szczelnie i gotować na parze

około pół godziny. Wyłożyć na półmisek i polać zrumienionem masłem. Można zamiast polewania masłem podać do tego budyniu sos śmietanowy, pomidorowy lub rumiany z kaparami.

SAŁATKA WITAMINOWA

Utrzeć spory korzonek chrzanu, posolić, nieco ocukrzyć, wycisnąć na to sok z całej cytryny lub polać kieliszkiem owocowego octu. Dać tak postać kilka godzin, nie przykrywając niczem naczynia, aby zbytnia ostrość znikła. Uszatkować jaknajcieniej (najlepiej na tarce do jarzyn) pół kilo marchwi, ćwierć kilo młodej kalarepy lub brukwi i dwa spore ogórki. Skropić te jarzyny obficie oliwą, osolić lekko. Nakoniec dodać dwa utarte na tarce jabłka, przygotowany uprzednio chrzan, wymięszać dobrze razem i dać postać na chłodzie godzin parę. Półmisek obłożyć wkoło kruchemi listkami głowiastej sałaty, w środku ułożyć sałatę w kopczyk i podawać.

LEGUMINA Z CZARNEGO CHLEBA Z JABŁKAMI

Czterdzieści deka czarnego chleba podsuszyć nieco — gdy zupełnie czerstwy, utrzeć na tarce. Pół kilo jabłek uszatkować jaknajcieniej (skórki nie obierać, gdyż w niej i pod nią bezpośrednio mieszczą się witaminy). Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem i układać w niej rzędami chleb i jabłka, każdy rząd przesypując cukrem (razem 20 deka cukru) i kładąc gdzieniegdzie kawałątko masła (10 deka). Pierwszy i ostatni rząd powinny być z chleba. Na wierzch wlać dwie szklanki śmietanki lub dobrego mleka, dodać resztę masła, obsypać cukrem i wstawić w umiarkowanie gorący piec na godzinę. Podawać do tego zimne mleko lub śmietankę. Na stół się podaje z foremką. Można zamiast cukru użyć dwadzieścia deka miodu — legumina ma wtedy smak bardziej oryginalny.

GALARETA MALINOWA Z KREMEM

Z pół kilo malin (najlepiej leśnych, gdyż są najbardziej aromatyczne) wybrać kilkanaście lub więcej najpiękniejszych, resztę zagotować, sok starannie przecedzić, rozprowadzić go wodą, aby było trzy szklanki. Wsypać szklankę cukru; jeśli mało kwaśny — dodać kilka łyżek soku z porzeczek, lub wycisnąć doń pół cytryny. Rozpuścić dwanaście listków żelatyny, pół na pół czerwonej i białej, zmięszać z sokiem malinowym. Połowę soku wlać do kryształowej salaterki, dać zastygnąć na lodzie. Ułożyć na tem odłożone piękne maliny. Nalać warstwę galarety, znów zastudzić. Dopiero wtedy wylać resztę galarety i wynieść na sześć godzin na lód. Tylko w taki sposób studząc galaretę, możemy być pewni, że owoce nie wypłyną, a pozostaną w środku. Przed podaniem ubić krem z kwaterki śmietanki, osłodzić dwiema łyżkami cukru-pudru, utłuczonego z wanilją. Krem ten wyłożyć na galaretkę i jeszcze ubrać malinami po wierzchu.

KISIELEK TRUSKAWKOWY.

Pół kilo drobnych truskawek oczyścić z ogonków, opłókać, odcedzić i zalać trzema szklankami zimnej wody. Gotować tak długo, aż owoce kolor stracą. Przecedzić przez muślin lub rzadkie płótno, wycisnąć mocno. Płynu powinno być cztery szklanki; gdyby było mniej — dodać wody. Wycisnąć sok z niedużej cytryny, lub włożyć kawałek cytrynowej soli, gdyż kisielek bez wyraźnego kwasku jest mdły. Płyn zagotować, wsypać trzy ćwierci szklanki cukru. Filiżankę mąki kartoflanej rozbić z filiżanką wody, wlać na wrzący płyn, wybijać łyżką, aż zgęstnieje i stanie się przezroczysty. Formę wylać wodą i wysypać cukrem, wlać masę i wynieść na chłód na sześć godzin. Przed podaniem wyrzucić na półmisek i podać oddzielnie cukier i słodką, zimną śmietankę. Można też ubić krem z dwóch szklanek dobrej, młodej śmietany, zmięszać go z dwiema łyżkami cukru - pudru, utłuczonego z wanilją. Kremem tym napełnić środek formy i obłożyć nim ładnie kisielek na półmisku.

Pani Elżbieta.

WŁOSÓW WYPADANIE i ŁUPIEŻ USUWAJĄ ESENCJA i MYDŁO CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM"). SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE i PERFUMERJE. - GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GĄSECKIEGO w WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL" USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE i KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). - SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. - SKŁAD GŁÓWNY - APTEKA A. GĄSECKIEGO, w WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT"

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu"—Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Redaktorki, STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Adm. Administracja Warszawa Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.
Druk. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ" Bydgoszcz 6, tel. 744-14.
Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ". Sp. z ogr. odp.

Nasza Mównica

Wrażenia z jednego tygodnia w Poznaniu.

Tak, jak od dwu lat, t. j. od czasu rozpoczęcia budowy, była wystawa główną osią życia i myśli Poznania, tak, można to teraz śmiało powiedzieć — staje się obecnie soczewką, skupiającą życie i myśli całej Polski.

Osobliwie imponujące były ostatnie dnie, kiedy to w Poznaniu, równocześnie ze wspaniałym Zlotem Sokolstwa, odbyła się wystawa hodowlana i Zjazdy rolnicze.

Zaroił się Poznań i tereny wystawowe od tłumnych wycieczek; ktoś dowcipnie i trafnie zauważył, że wycieczki młodzieży szkolnej są wspaniałym, żywym pokazem naszej przyszłości, w tych dniach zaś, obok ciągle licznych szeregów szkolnych, odbywał się inny pokaz: pokaz Narodu.

Od szumiących falą polskiego morza brzegów naszej północy — po granice tatrzańskie i dalekie, ciemne lasy czarnohorskie, od zachodnich kresów, do nizin nadprypeckich — zewsząd przybyli i przybywają ciągle. Według dobrego zwyczaju, wycieczki mają swoje odznaki, więc też migają różne barwne wstążeczki i przesuwa się w ten sposób cała żywa geografja Polski.

W Zlocie Sokołów imponujący był udział kobiet. W pochodzie witane entuzjastycznie okrzykami i kwiatami, często w strojach ludowych, jak np. góralki, krakowianki, łowiczanki, albo w specjalnem umundurowaniu, dotrzymywały raźno kroku sokołom, a na boisku w ćwiczeniach sokolic wykazały tyle sprawności i piękności ruchów, że zachwyt był ogólny.

„Nie wiedziałam, że ręka — to taka piękna część ciała" — mówi jakaś pani, podziwiając przepiękne ruchy ramion i dłoni, ćwiczących w takt muzyki zastępów żeńskich.

A z drugiej strony słychać uwagę:...

„Czyż nie piękniejsze te ruchy od tego, co się widzi na różnych scenach, i czy nie zdrowsze, nie czystsze?"

O tak! Jakaż harmonja w tym tysiącznym żeńskim zastępie! Jakież akordy barwy i ruchu! Jakaż zdrowa, czysta, swojska myśl bije od tego boiska, usianego biało - granatowem kwieciem polskich sokolic!

W czasie Zlotu sokołów, na wielkiej arenie Powsz. Wyst. Krajow. odbyło się widowisko p. t. „Zaślubiny Wisły z Bałtykiem".

Wypadło wspaniale — a było głównie w ogólnych ramach dziełem kobiet.

Za temat posłużył wiersz Deotymy — autorką pomysłu, ogólnej organizacji i realizacji jest hr. J. Zamoyska, naczelniczka Związku Sokołów Polskich; reżyserja pozostawała w rękach p. Młodziejowskiej - Szczurkiewiczowej.

Z dumą możemy mówić o wielkim sukcesie tego dzieła! Sama nie wiem, co wyżej stoi: czy piękno wykonania, czy prostota pomysłu.

Akcja rozwija się i tłumaczy tak jasno, że prawie objaśnień nie trzeba (jakkolwiek pomyślano i o programach w dwu językach: polskim i francuskim) świadczy to najlepiej o doskonałości pomysłu i świetności wykonania.

Na olbrzymiej murawie areny, w smudze świateł reflektorów, wypływa Wisła - Królowa. Suną szeregi niebieskich dziewcząt spokojnym nurtem od źródeł, do Bałtyku. Odpowiednia deklamacja na zmianę z orkiestrą i śpiewem chóralnym, towarzyszą tej niebieskiej, płynącej wstędze. Naprzeciw, na tronie pod świetlistym Orłem Białym czeka król - Bałtyk. A potem dopływają to z prawej, to z lewej strony boczne rzeki; zachwycają oczy barwnością strojów, wychodząc rytmem właściwego tym stronom tańca— poczem zapadają według linji rzeki, łącząc się z niebieską wstęgą Wisły. I tak np., Dunajec reprezentowała grupa górali z Zakopanego, ze swemi tańcami, przy własnej muzyce. Widzimy grupy myśliwskie z borów nadwieprzańskich — i krakowian, i kapłanki Pilicy, i inne, jedna piękniejsza od drugiej. Największy entuzjazm wywołał mazur w strojach łowickich. Tak, to się udało i jako widowisko i jako pokaz narodu. Udało — świetnie! najlepiej ze wszystkich dotychczasowych widowisk plenerowych na P. W. K.

Po Zlocie Sokołów, któremu dopisała cudna pogoda, skoncentrowało się życie na wystawie około spraw hodowlano - rolniczych.

Znawcy mówią, że ta obecna wystawa hodowlana — to jedna z największych, jakie wogóle gdziekolwiek się odbyły.

Wśród wystawców w przeważnej liczbie figurują kobiety, osobliwie w dziale drobnego inwentarza, t. j. drobiu i królików.

Wystawa imponująca, tak co do liczby okazów, jak organizacji, porządku, rozmieszczenia.

Piątego lipca miały miejsce obrady Zjazdu Ziemianek z bardzo bogatym programem. Po zagajeniu i powitaniu ze strony przew. Rady naczelnej i przew. Tow. Ziemianek — po powitaniu ks. biskupa Dymka i reprezentantów Tow. Ziemian, nastąpiło sprawozda-

nie przewodniczącej Komitetu wystawowego p. hr. Kwileckiej i sprawozdanie kasowe. Wśród suchych— zdawałoby się — liczb było tyle życia, że słuchało się z wielką przyjemnością, a szczególnie miłe wrażenie zrobiło zamknięcie kasowe: Ziemianki i Włościanki zrobiły rzecz swoją dobrze, wystawiły śliczny pawilon — *bez deficytu!* — i owszem, z pozycją nadwyżkową w dochodach.

Dobrze włodarzyły kobiety!

Oprócz tych zjazdów, kronika tygodniowa wymienia jeszcze szereg innych, które odbyły lub odbywają się w tym tygodniu.

Wśród nich był także: Pierwszy ogólnopolski Zjazd Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z wyższem wykształceniem. W programie obrad, obok spraw organizacyjnych, wygłosiła wykład p. Doc. Uniw. Pozn. Dobrzyńska - Rybicka: „O myśleniu emocjonalnem" — i p. Dr. Bożena Stelmachowska referat p. t. „Reforma szkolnictwa żeńskiego".

Wpobliżu terenów wystawowych, naprzeciw Pałacu rządowego, w gimnazjum Marcinkowskiego ma swoją siedzibę Teatr szkolny i w tym budynku także odbywają się kolejno specjalne wystawy.

Widzieliśmy tam już pokaz, odnoszący się do Teatrów szkolnych, a obecnie otwarta jest wystawa Ochronki polskiej i Tow. Naucz. Szkół średn. i wyższych.

W pokazach Teatrów szkolnych duży był udział pracy kobiet: pomysły kostjumów, ich wykonanie, inscenizacja — to w przeważnej części ich dzieło. Ochronka polska — to już wyłącznie dziedzina pracy kobiecej; natomiast bardzo słabo (zastrzegam się, że może tylko pozornie) wygląda udział kobiety w wystawie T. N. S. W. Poważny dorobek 10-letniej pracy tego towarzystwa pokazano bardzo przejrzyście i *bardzo estetycznie.* Wychodzi się pod wrażeniem silnej i wysokiej kultury.

Ale niema w niej wybitnego udziału kobiet. Na 34 portretów zasłużonych w związku z T. N. S. W.. jest tylko jeden kobiecy: Elizy Orzeszkowej.

I to — poza nielicznemi broszurkami i dziełkami autorstwa kobiet — cały udział ich w tej wystawie.

A prawda! zauważyłam tam jeszcze na obrazowem, statystycznem przedstawieniu pracy T. N. S. W. dwa symbole, wyobrażone w postaciach kobiecych: są to działy pracy filantropijnej i kulturalno-artystycznej.

Bardzo interesujący jest widok zwiedzających tłumów na terenach P. W. K. Zaznacza się wśród nich kilka zdecydowanych typów. Jedni z przewodnikami lub sami, zwiedzają planowo wszystko; drudzy interesują się jakimś specjalnym działem; jeszcze inni zwiedzają jakby mimochodem, a stają przy specjalnie efektownych stoiskach, lub w szczególnie ciekawych pawilonach; są i tacy, dla których główną atrakcją jest „Wesołe miasteczko!"

Jeżeli chodzi o kobiety, to widziałam entuzjastki, które się uczą na wystawie: robią notatki, wracają do tych samych eksponatów; są i takie, które się najpierw dziwią, co n. p. może być ciekawego dla kobiety w pawilonie ciężkiego przemysłu, albo w samorządach, — a gdy tam wejdą — stają, podziwiają i radują się tem, co widzą!

Jak najlepiej zwiedzać Wystawę — trudno rozstrzygnąć. To jednak jest oczywiste, że kiedy po widzeniu tej kochanej „Pewuki", do której wprost z macierzyńskiem uczuciem odnosi się Poznań a myślę, że teraz i cała Polska — każdy, choćby miał w głowie trochę chaosu od tego ogromu, choćby upadał ze znużenia — wyniesie z niej światło w duszy. Chaos się ułoży, znużenie przejdzie — ale światło zostanie!

Mówiono z początku, że może wystawa była przedwczesna, może przechodziła nasze siły, ale teraz, gdy się widzi te rozentuzjazmowane rzesze, gdy oczy błyszczą od łez szczęsnego wzruszenia, gdy co chwilę jakieś zachwycone oczy patrzą na Polskę, w takiem genjalnem streszczeniu tu przedstawioną, — wie się już nieomylnie, że nie zawcześnie było na P. W. K.: bo choćby nas nawet doraźnie pod względem materjalnym spotkały jakie zawody, złączone z wystawą, to nie zawiedzie ten skarb wiary i tężyzny duchowej, jaki z P. W. K. promienieje na całą Polskę.

Trzeba tu być i trzeba widzieć samemu! Wielokrotnie już słyszałam, że ci, którzy zwiedzili wystawę, choćby w bardzo krótkim czasie, wywożą niezapomniane wrażenia i tak gorące i serdeczne, że zamierzają tu jeszcze wrócić.

„Kto wie, za ile lat znów się to zobaczy!?" — mówi ktoś, obrzucając kwiatami pochód sokołów.

A na te lata aż do następnego przeglądu naszego życia narodowego — trzeba nam wchłonąć w siebie tę ożywczą siłę, jaka bije z żywego źródła, którego symbolem i wielką rzeczywistością jest Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu. *A. W.*

Czy mężatka powinna pracować zawodowo?

(W odpowiedzi Częstochowiance i p. Mal...ckiej).

Z ogromnem zainteresowaniem obserwuję rozwijającą się nad powyższem zagadnieniem dyskusję. Widać z niej, że dwojakiego rodzaju stanowisko zajmują zabierające głos czytelniczki: albo są zwolenniczkami pracy zawodowej mężatek, albo jej przeciwniczkami. Postanowiłam wypowiedzieć swoje zdanie, o tyle może odrębne, że przyznaję rację i jednym i drugim. Napozór wydaje się to nielogiczne, jakże bowiem można stawać po stronie dwóch sprzecznych z sobą poglądów! a jednak...

Omawiana sprawa interesuje mnie oddawna, t. j. od czasu, gdy rozpoczęłam pracę zawodową. Przez długie lata rozpatrywałam wszelkie „za" i „przeciw", wysnuwając je z faktów konkretnych, które miałam sposobność obserwować. Obecnie, zanim wzięłam pióro do ręki, jeszcze raz zrobiłam „rachunek sumienia", nie swój wprawdzie, ale znanych mi mężatek, wyłączając tylko te, które pracują z konieczności, zmuszone warunkami materjalnemi, uważam bowiem za bezcelowe rozważania teoretyczne tam, gdzie swe prawa dyktuje mus.

Zacznę od skrytykowania argumentów, które wysuwa p. Mal...cka, powołując się na to, że „setki tysięcy robotnic, kobiet wiejskich lub z drobnego mieszczaństwa, zmuszonych ciężką pracą dopomagać rodzinie", wychowuje również dzieci. „Czy dzieci ich są gorsze?" — rzuca pytanie p. Mal...cka — „to nie są obywatele Polski, mający takie samo prawo do zdrowia i kultury?". Naturalnie, mają prawo! ale jak są chowane, a raczej niewychowywane, o tem my, nauczycielki, zbyt dobrze wiemy.

Również nie możemy sięgać po przykłady z życia posłanek, uczonych, działaczek społecznych i t. p. Większość z nich znajduje się w tych warunkach materjalnych, które pozwalają na oddanie zarządu domem i wychowania dzieci w zupełnie odpowiednie ręce. Zresztą, gdyby nawet były pewne wady i braki, okupią je całkowicie zasługi wobec społeczeństwa. Nie jestem więc ciekawa, jaką żoną i matką była p. Curie-Skłodowska (na którą powołuje się p. Mal... cka), większe bowiem stokroć razy znaczenie ma dla mnie wynalazek, przynoszący ulgę tysiącom nieszczęśliwych.

Ja uważam, że powinnyśmy mówić o zwykłych śmiertelniczkach, których zastępy większość z nas tworzy, t. j. ani o wybitnie uzdolnionych, ani o nadzwyczajnych działaczkach.

Nie rozporządzam danemi statystycznemi na poparcie swego zdania, że przeciętnie mężatka, pracująca zawodowo, spełnia dobrze tylko jeden ze swych obowiązków: albo jest dobrą pracownicą, a wtedy gospodarstwo domowe i dzieci są w większem lub mniejszem zaniedbaniu (chyba, że ratuje sytuację będąca na dożywociu matka, ciotka lub jakaś kuzynka, no to jeszcze pół biedy!), albo jest dobrą gospodynią i matką, natomiast mniej lub więcej niedbałą pracownicą. Jest to zupełnie naturalne. Wpływają na to nietylko w pewnym kierunku pociągające zdolności lub upodobania, ale i pewien instynkt samozachowawczy, który każe oszczędzać siły. Niejednokrotnie mężczyźni, silniejsi fizycznie, gdy zajmują parę posad, wyczerpują się prędzej czy później, cóż więc mówić o kobiecie!

Gdyby nawet kobieta, nie zważając na swe zdrowie, chciała podołać wszystkim obowiązkom, to nie może. Choćby była najsumienniejsza i najenergiczniejsza, nie ujmie całkowicie w swe ręce spraw domowych, a zwłaszcza wychowania dzieci. Wpływa na to już sam fakt nieobecności w domu w ciągu 7—8 godzin dziennie. Ile na tem tracą dzieci, zdane na łaskę służącej „do wszystkiego", o tem możnaby dużo powiedzieć. Przyznają mi to całkowicie znajome mężatki, z któremi nieraz na ten temat konferuję.

Jeśli więc kobieta chce gospodarstwo domowe postawić na odpowiednim poziomie, jeśli chce w należyty sposób kierować wychowaniem dzieci i mieć na nie jaknajwiększy wpływ pedagogiczny, musi być w domu. Lecz, aby dobrze wywiązać się z obowiązków gospodyni i matki, powinna mieć albo wrodzone zdolności organizacyjne i pedagogiczne, albo odpowiednie ku temu przygotowanie. Przy dobrych chęciach, wynikających ze zrozumienia ważności obowiązków, wszystko da się zrobić, gorzej jednak, gdy ich brak. Znamy wszyscy takie domy, w których gospodyni nie umie nic zorganizować, nie ma w swej pracy żadnego planu, energję rozprasza na drobnostki, wskutek czego brak jej zawsze czasu, czuje się przemęczona; służąca też jest przepracowana, nie wie, kiedy robotę ma zaczynać, a kiedy kończyć; dzieci — w zaniedbaniu. Bywają też typy kobiet leniwych, czy też dziwnie apatycznie do życia i obowiązków usposobionych. Znam młode mężatki, których dzieci całemi tygodniami nie wychodzą zimą na spacer, bo „mamusia miałaby za dużo kłopotu z ich ubieraniem i rozbieraniem", a latem też tylko bawią się przy domu, bo mamusia jest bardzo zajęta: czyta powieści lub haftuje makatki. Na szczęście, takich kobiet jest niedużo.

Z tego, co wyżej powiedziałam, możnaby wysnuć wniosek, że jestem wrogiem emancypacji i że chciałabym, aby życie mężatki upływało w ciasnem kole zainteresowań gospodarskich i wychowawczych. Czy byłoby „demokratycznie, społecznie i altruistycznie, abyśmy my, kobiety z inteligencji, które tworzymy tylko część narodu, twierdziły, że nam pracować nie wolno?" — mówi p. Mal...cka w swoim artykule i z tem zgadzam się całkowicie. Od siebie dodam: czy byłoby to ludzkie stanowisko, odmawiać kobiecie praw do pracy? Przecież ona, jak każdy człowiek, ma swoje zdolności, upodobania, dążenia. Więc je wyrwać z duszy, jak chwast niepotrzebny? Nigdy! Ale tu właśnie tkwi jądro tragedji dzisiejszej inteligentnej kobiety. Tak! podkreślam to słowo: tragedji. Wyjścia bowiem z trudnego położenia narazie niema.

Kobieta chce pracować i chce mieć rodzinę. I ma do tego prawo! Ale jedno drugiemu staje na przeszkodzie. Przypomina mi się jeden fakt, który przed laty potraktowałam nieco humorystycznie, a który, gdy nań patrzę dzisiejszemi oczami, odsłania mi rąbek owej tragedji. Byłam u znajomej, znanej pedagogiczki. Rozmawiałyśmy o równouprawnieniu kobiet. Moja znajoma, choć gorąca zwolenniczka, nieco je krytykowała: „Co to za równouprawnienie! Mój mąż zamknął się w pokoju i pisze jakąś rozprawkę naukową. Ja, choć mam również pilny artykuł do wykończenia, zrobić tego nie mogę, bo jestem gospodynią i matką. Przyjęłam od praczki bieliznę, którą muszę sprawdzić, muszę wydać rozporządzenie co do jutrzejszego obiadu, no i muszę iść z Jurkiem na spacer, bo piszczy. Jakież więc my, kobiety, mamy warunki pracy?".

Zdenerwowanie jednak widać było duże, bo na schodach — w drodze na spacer — Jurek dostał w skórę, a znajoma moja wygłosiła zdanie, świadczące o jej rozdrażnieniu: „Mój Boże! czemu nie urodziłam się lat temu pięćdziesiąt! Układałabym bieliznę, wydawałabym rozporządzenia kucharce i chodziłabym z Jurkiem na spacery. Byłabym szczęśliwszą! Nie miałabym tych wyrzutów sumienia, które mam teraz, gdy pomyślę, ile razy przez pracę swoją pozbawiam Jurka matczynej opieki!...".

Tak! położenie dzisiejszej kobiety jest trudne. Nic nie pomogą głosy, oświadczające się za pracą zawodową kobiet lub przeciw niej — to będzie tylko teorja. W praktyce — kwestję tę rozstrzygać trzeba indywidualnie. Że rozstrzygnięcie jej w wielu wypadkach dla kobiety inteligentnej jest ciężkie — nie ulega wątpliwości.

Nieraz myślę nad tem, że gdybym stanęła wobec zadania wychowywania dziecięcia, pracę zawodową rzuciłabym bez namysłu — dla jego dobra, ale w mojem życiu byłby to największy dramat. *Helena Ryszkowska — Siedlce.*

Szkoły małżeńskie.

W mieście Kanzas City (t. j. daleko, ale nie tak znowu bardzo daleko od Warszawy!) dane statystyczne wykazały, że na dwa śluby przypada jeden rozwód, t. j. że owo sakramentalne: **„a iż cię nie opuszczę aż do śmierci"** jest czczą pogróżką od straszenia naiwnych.

Rozwodów 50% — a wiadomo, że nie wszystkie nieszczęśliwe małżeństwa rozchodzą się... więc? Więc należy zastanowić się nad tem, co na to radzić...

Ojcowie miasta Kanzas City nie frasowali się tym stanem rzeczy jałowo, tylko — raz, dwa — postanowili założyć **szkoły małżeńskie**, twierdząc, że głównym powodem rozłączania się tych, których — rzekomo — Bóg połączył, jest nieznajomość zobopólnych obowiązków i wzajemnej odpowiedzialności.

Czytając nieraz w „Mównicy" rozważania na temat szczęścia — i nieszczęścia — w małżeństwie i mnie przychodziło do głowy: dlaczego z tak pochwały godną starannością przygotowują się dzieci do sakramentu spowiedzi i Komunji Św., a dorośli nie przygotowują się wcale do sakramentu małżeństwa?

Mówi się wprawdzie czasem o konieczności teoretycznego przygotowania kobiety do jej przyszłych obowiązków żony i matki, o kursach gospodarstwa domowego; ale to przecież nie ogarnia tej właśnie zasadniczej kwestji: kwestji rozumnego — raczej rozsądnego — współżycia dwojga ludzi tak, żeby obojgu było dobrze. Z tego zaś płynie poniekąd i reszta: ład w sprawach domowych, zgodne współdziałanie rodziców w wychowaniu dzieci; kto wie, zali nie jakość cech zasadniczych — tak fizycznych jak i moralnych — jakie te dzieci przyniosą ze sobą przychodząc na świat — inaczej mówiąc: jakość dziecka.

Więc sądzę, że i u nas także i warto i należy — jeżeli już nie wymagać od ludzi, zabierających się do stanu małżeńskiego, świadectwa z ukończenia „szkoły małżeńskiej", (jak to może obowiązywać będzie w najbliższej przyszłości w Kanzas City) — to przynajmniej dostarczyć ludziom dobrej woli możności ujęcia spraw tych głębiej, mądrzej, szerzej i jaśniej, przy pomocy specjalnych podręczników, w tym celu zredagowanych.

Proponowałabym więc tymczasem nie szkołę małżeńską, tylko propagowanie (np. przy kursach dokształcających — w wyższych klasach gimnazjalnych i szkół powszechnych) uświadamiających broszur.

Uświadamianie indywidualne zapomocą broszur, czy podręczników uważam za odpowiedniejsze, niż zapomocą specjalnych odczytów, czy też kursów, ze względu na dużą trudność wśród dzisiejszej (i dawniejszej) młodzieży ustosunkowania się naprawdę poważnie i objektywnie do tych spraw, dla większości ludzi drażliwych. Publiczny odczyt wywołaćby mógł snadnie nastrój, który — przychodząc, jak wiadomo, od większości, nie od elity — wypadłby nieodpowiednio do zamierzeń prelegenta i treści wygłaszanych teoryj, rad i rozważań.

Być może, że owe podręczniki, przygotowujące do życia we dwoje, powinny być odmienne — dla przyszłego męża i dla przyszłej żony, nacisk wszelakoż kładę na konieczną obustronność: dotąd mówiło się wciąż tylko o kobietach, jako **fach** podając im macierzyństwo i pożycie w małżeństwie (żona — matka). Upominam się o „emancypację mężczyzny", o dopuszczenie i jego też do wyższego — możliwie najwyższego kształcenia się na ojca i męża. Bardzo się takowe równouprawnienie przydać może w sprawie sanacji obecnie zatrważająco rozluźnionych związków małżeńskich.

Nie wiem, czy u nas statystyka rozwodów jest tak krańcowo zatrważająca, jak w Kanzas City; myślę, że się mniej często rozwodzimy, ale to nie dowodzi jeszcze, żeby u nas więcej, niż w 50% małżeństw, znaleźli małżonkowie jeśli nie t. zw. „szczęście", to przynajmniej warunki do pełniejszego, bogatszego rozwoju swoich dodatnich cech, niż w życiu w pojedynkę. Statystykę trudnoby tu ustalić, wyczuwamy jednak aż nadto wyraźnie, że i u nas nie wszystko jest w porządku.

Przygotowujmy więc młodzież, tak męską jak żeńską, do głębokiego rozważania sprawy wspólnego pożycia dwojga, dziś bardziej skomplikowanej, niż przed laty, wobec komplikujących się coraz więcej warunków życiowych i różniczkujących się coraz subtelniej indywidualności: tafla lustrzana łacno przystanie do drugiej tafli — rzeźba do rzeźby — trudniej.

Przygotowanie zaś do małżeństwa powinno się przeprowadzić zawczasu, t. j. nie w chwili, gdy ogarnie oboje stan specyficznego podniecenia, najmniej sprzyjający teoretycznym rozważaniom. Przygotowujmy „na wszelki wypadek" wszystkich, ponieważ bardzo znaczna większość ludzi żyć będzie w małżeństwie.

Oczywiście, teoretyczna nauka nie przesądza jeszcze niczego. Znać drogę, nie znaczy to jeszcze — przejść ją pomyślnie; ale nie znając drogi, dojść do celu, staje się nieprawdopodobieństwem — loterją o jednym wygrywającym losie z pośród setek tysięcy. *M. B. z lubelskiego.*